

Rozmowy: z Davidem Pituchem i Andrzejem Rozhinem

Reportaż z Iraku

1905

Wiesław Horabik - str. 4

Albin Koprucki - str. 3

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr Indeksu 36251

Kamena

NR 12 (832)

16 czerwca 1985

CENA 10 ZŁ

ZADŁO i ZDRÓWIE

Waldemar Piasecki

PRZED dwoma laty pisałem o dr. med. Janie Gizie, który — jak powiadają w Wilkowie nad Wisłą — pszczoły przystawia. Pod tym dość frywolnym medycznie określeniem kryje się potężna gałąź medycyny niekonwencjonalnej: apiterapia. W jej skład wchodzi m.in.: leczenie propolisem, pierzga, pyłkiem kwiatowym, mleczkiem pszczelim, jadem oraz medykamentami miodopochodnymi. Po publikacji nastąpiło lawinowe zainteresowanie metodą Gیزی, które odczułem na własnej skórze (listy, telefony), podobnie zresztą jak koledzy z lubelskiej telewizji również w sprawie „zamieszani”. Metoda przez minione dwa lata została rozwinięta, poddana pełniejszej weryfikacji i przedstawiona na kilku sympozjach. Lecznicze właściwości produktów pszczelich dostrzeżono przed kilkoma

tysiącami lat. Znane były cywilizacjom inkaskiej i sumeryjskiej. W starożytnym Egipcie miód był stosowany przy mumifikacji, jedli go robotnicy budujący piramidy. Hammurabi kazał dawać do spożywania produkty pszczele żołnierzom. Wspomnieni Inkowie wykorzystywali kit pszczeli (propolis) przy leczeniu ran i stanów zapalnych, w chorobach wątroby i przewodu pokarmowego. W średniowieczu apiterapia rozpowszechniła się w Rosji, na Bałkanach i niektórych krajach śródziemnomorskich (Hiszpania, Francja). Znaną była również w Polsce. Pierwsze naukowe doniesienie, dotyczące leczenia jadem pszczelim, pochodzi od wiedeńskiego klinicysty Filipa Tertscha, który w 1888 roku opublikował wyniki wyleczenia 174 przypadków gośca, w tym również u siebie. Tertsch stosował uzadlenia w miejsca

bolesne, przy czym dawka uzależniona była od stopnia zaawansowania choroby i podatności organizmu na intoksykację jadem. W ślady Filipa poszedł jego syn Rudolf Tertsch. W 1912 roku opisał on leczenie 660 przypadków gośca z całkowitym wyleczeniem u 554 chorych, ze znaczną poprawą u 99 pacjentów i brakiem poprawy w 17 przypadkach. Innym znanym lekarzem praktykującym w leczeniu uzadleniami i jadem był M. B. Krol. W latach 1936—37, pracując w doświadczalnym laboratorium kliniki kremlewskiej, opracował oryginalną metodę otrzymywania preparatu jadu pszczelego. Profesor Krol w uznaniu zasług naukowych i leczniczych został członkiem zwyczajnym Akademii Nauk ZSRR. Uczony ten i jego zespół opublikowali wyniki leczenia jadem kilkunastu tysięcy przypadków.

W 85 proc. uzyskali całkowite wyleczenie gośca, u 12,5 proc. zanotowano znaczną poprawę i zahamowanie procesu chorobowego, zaś u 2,5 proc. nie stwierdzono żadnej poprawy. W 1959 roku Ministerstwo Zdrowia ZSRR oficjalnie uznało apitoksynoterapię (leczenie jadem) jako metodę leczniczą. Podobne do radzieckich wyniki w leczeniu gośca uzyskano również we Francji, RFN (wcześniej w Niemczech), Austrii, Wielkiej Brytanii i Rumunii. Jad znajduje także zastosowanie w leczeniu niektórych chorób neurologicznych, naciśnienia, chorób dróg oddechowych. Doktor Giza, nim zajął się apitoksynoterapią, z powodzeniem leczył akupunkturą, której uczył się pod kie-

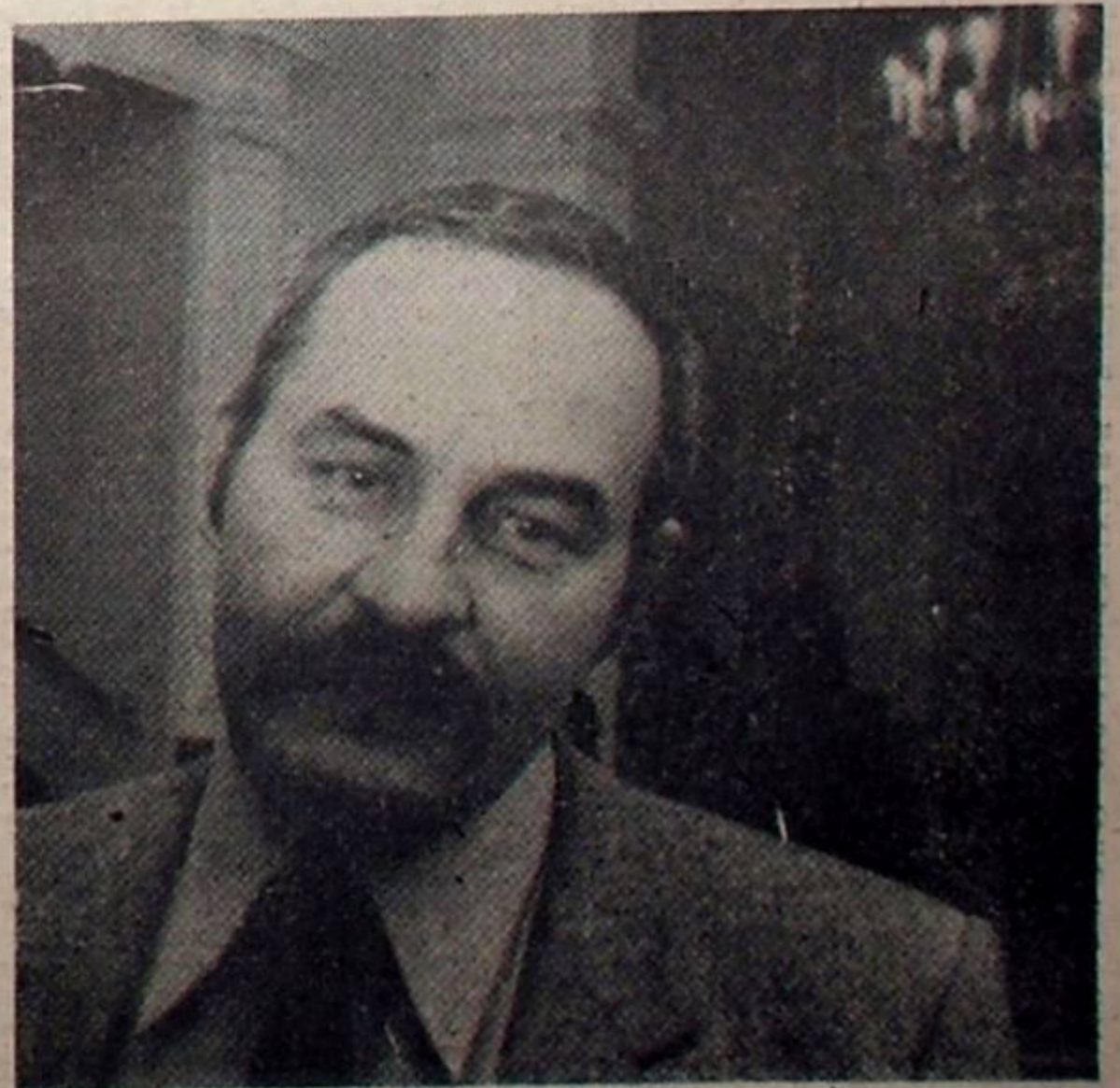
Ciąg dalszy na str. 8

STRACHY NA LACHY

Anna Bocian

POLAK przeważnie mądrzeje po szkodzi, choć nie jest to regułą. Na przykład jeżeli Polak mądrzeje tuż przed śmiercią, potem może tylko straszyć, co nie jest specjalnie przekonującym argumentem za ochroną naturalnego środowiska. No i jest jak jest: Polak umiera, bo nie wie, że zaszkodziło mu powietrze, woda, gleba, czyli to, do czego przyzwyczaił się oraz na co nie zwracał uwagi. Bo, co gorsze, Polak zapomniał, że funkcjonuje na ziemi jak roślina i zwierzę, odżywia się nie jak istota boska, tylko niczym jamochłon. Czym więc sobie zarozumiał człowiek ziemię spaskudzi, to mu spapra delikatne struktury w ciele i nawet nie będzie wiadomo, czym pomóc. Nie na darmo kwitnie radosna twórczość człowieka ingerującego w naturę. A medycyna wciąż rozwija się, tzn. gubi się w wąskich specjalnościach. Zacieśnia się jej obraz człowieka żyjącego w niegdyś naturalnym otoczeniu, a obecnie — między kominami a kolejkami, konserwami i detergentami, zmęczonego i zbyt ambitnego. Mówi się, że medycyna jest na rozdwoju, bo po arogancji lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy osiągnęliśmy apogeum wiary w potęgę rozumu, przyszła pora na regres i teraz uważa się już, że medycyna to największe zagrożenie dla zdrowia, to odmiana filozofii, a lekarz to urzędnik. Zresztą medycyna też zmęczona, bo wkomponowana w cały skażony świat, podlega jego presji. Czyli że walczy z białaczkami, chorobami nowotworowymi i zawałami, schorzeniami metabolicznymi i zaburzeniami prawidłowych czynności rozumu. Ale czy im zapobiega? Coraz częściej kolportuje się pogląd, że zdrowie jest zbyt ważne, by powierzać je wyłącznie lekarzom. I słusznie. Już coraz mniej zależy ono od

Ciąg dalszy na str. 8



Andrzej Rozhin. Rozmowa z nowym dyrektorem Teatru im. Juliusza Osterwy zamieszczamy na str. 5. Fot. Jacek Mirosław

Zapraszamy na losowanie rozstrzygnięcie konkursu 19 czerwca br.

Znamy już termin rozstrzygnięcia Konkursu Bułgarskiego Ośrodka Kultury i Informacji, Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej i redakcji „Kamena”. Odbędzie się ono 19 CZERWCA BR., O GODZINIE 17.30 W KLUBIE MPIK PRZY UL. LEONARDA 18 W LUBLINIE!

Tego dnia poznamy szczęśliwców, którym przypadnie w udziale:
● NAGRODA GŁÓWNA: dwutygodniowy pobyt w luksusowym hotelu „Briz” w Burgas (16-29 VIII br.).
● TELEWIZOR TURYSTYCZNY „NEPTUN”.
I SZEREG INNYCH CENNYCH NAGRÓD (m.in. malarstwo i grafika, ceramika artystyczna, albumy).
W uroczystym zakończeniu konkursu udział zapowiedział ambasador

Ludowej Republiki Bułgarii, GEORGI GEORGIJEW, obecna będzie telewizja i naturalnie przedstawiciele sponsorów imprezy.

Uchylając rabka tajemnicy, podajemy, że będziemy losować publicznie spośród 151 ROZWIĄZAŃ, które spełniły kryteria konkursowe; ogółem WPLYNĘŁO ICH 467 z całej Polski. Jury przyjęło zasadę, iż JEDNA OSOBA (niezależnie od liczby nadesłanych kuponów) BĘDZIE MOGLA WYLOSOWAĆ TYLKO JEDNĄ NAGRODĘ. Tak więc, wszyscy, którzy nadesłali rozwiązania hurtem (a nie brakowało takich!), będą mieć znacznie większe szanse, ale tylko do pozyskania jednej premii. Tak wydaje nam się sprawiedliwiej.

ZAPRASZAMY NATEM WSZYSTKICH UCZESTNIKÓW NA LOSOWANIE I ŻYCZYMY SZCZĘŚCIA!

z notatnika

30 V. Zachodniemiecki tygodnik „Stern” opublikował (numer 20 z 9 maja) wyniki badań ankietowych przeprowadzonych na zlecenie redakcji wśród młodych (18-20 lat) obywateli RFN przez monachijski instytut badań nad młodzieżą.

Uzyskane dane są interesujące. Okazuje się, że 88,9 proc. uczestników ankiety uważa za najpilniejsze zadanie zwalczanie bezrobocia (w 1980 r. — tylko 59,4 proc.). Na dalszych miejscach znalazły się takie problemy jak: zwalczanie zanieczyszczenia środowiska, udogodnienie systemu oświaty, walka ze wzrostem cen, rozszerzenie stosunków politycznych ze Wschodem i z Zachodem.

Tylko 17,2 proc. ankietowanych odpowiedziało, że w RFN czuje się „całkowicie wolnymi”.

Na uwagę zasługują też opinie młodych na temat 8 maja 1945 r., rocznicy zakończenia II wojny światowej (my czcimy datę o dzień późniejszą). Jeszcze w 1975 r. 16,3 proc. ankietowanych traktowało 8 maja 1945 r. za dzień klęski, 43,7 proc. — za dzień wyzwolenia, a 39,1 proc. było niezdeterminowanych. W 1980 r. odpowiednio liczby wynosiły: 15,2 proc., 53,6 proc. i 30,6 proc. Natomiast w 1985 r. 8 maja 1945 r. za dzień klęski uważa tylko 8,4 proc. młodych ludzi, za dzień wyzwolenia — 62 proc., zaś niezdeterminowanych jest 29,3 proc.

W 1987 r. odbędą się w RFN wybory do Bundestagu. Jedno z pytań ankiety brzmiało: na jaką partię głosowałbyś, gdyby wybory odbyły się dzisiaj? Za SPD wypowiedziało się 34,8 proc., za CDU/CSU — 27 proc., za „Zielonymi” — 22,3 proc., za FDP tylko 3,3 proc.

Ankiety nie komentuje, bo w przeszłości już niejednokrotnie okazywało się, że inaczej wyglądała praktyka, niemniej doszukuję się w niej źdźbła optymizmu.

3 VI. Wielka rodzina Jaworskich (no, nie tak liczna jak Kowalskich...) została zdetronizowana i już nie Jaworska jest Miss Polonią, ale Zawidzka (Katarzyna) razem z Gorzową Wielkopolskiego. Wyszła na tym lepiej niż jej poprzedniczka, bo w nagrodę otrzymała samochód volkswagen-golf (turbo-diesel) a nie żadnego fiacika. Ofiarodawcą tej nagrody jak i dwóch drugich (zestawy aparatury video) nie był, na szczęście, minister Nieckarz (czytaj: polski podatnik), ale firma MICRO-MEX S. A., której to w jakiś tam sposób musi się opłacać.

W telewizji obejrzałem fragmenty samej imprezy, jak i moment koronacji, a kiedy tak sobie na ten ekranik spoglądałem, przypomniały mi się wybory miss Lublina, pierwsze powojenne wybory, które w 1957 r. odbyły się w sali kina „Wyzwolenie” (chyba już wówczas tak się kino nazywało, bo niegdyś nosiło ono imię — „Apollo”). W Lublinie impreza przypominała widowisko w Wólce Koziej, natomiast to, co się działo w Sali Kongresowej... Słów brak i porównań!

Zawidzka pojedzie teraz w świat. Ponieważ jest studentką Wydziału Inżynieryjno-Ekonomicznego Przemysłu Chemicznego na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, może pogłębi i swoje naukowe kwalifikacje.

Cheć zwrócić jeszcze uwagę na fakt, że miss pochodzi z Gorzowa Wielkopolskiego, a w finale nie znalazła się

żadna lublinianka, rzeszowianka czy białostocczanka. A ja daję słowo, że na ulicach Lublina widzę więcej pięknych dziewcząt niż na ulicach Gorzowa czy Poznania (skąd pochodzi jedna z wicemiss). Czyżby lublinianki grzeszyły nadmiarem samokrytycyzmu, nadmiarem skromności? A może po prostu mają tę całą imprezę gdzieś?

4 VI. Wybrano nowego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie. Został nim Andrzej Szpringer, ostatnio sekretarz propagandy KW, długoletni — choć ciągle młody (44 lata!) — działacz partyjny i społeczny, który przez kilka miesięcy parował się też dziennikarstwem. Bardzo serdecznie zegnano na plenum KW prof. dr. hab. Wiesława Skrzydło, który dotychczas piastował to odpowiedzialne stanowisko. W tej zmianie na najwyższym lubelskim szczeblu nikt nie doszukuje się sensacji. Funkcja I sekretarza KW i związane z tym liczne obowiązki nie sprzyjają działalności naukowej, a jak sądzić, profesor ma swoje ambicje i praca w Polskiej Akademii Nauk wydała mu się ponętna. Dzisiaj, gdy działamy przy bardziej otwartej kurtynie, wszelkie zmiany personalne należy przyjmować ze zrozumieniem i bez emocji.

Andrzej Szpringer ukończył — również jak i ja, choć dwanaście lat później, więc na gruncie szkolnym nie spotkaliśmy się — Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. Właśnie w dniach 21-22 września br. odbędzie się V Zjazd Wychowanków zarówno tej szkoły jak i Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi (nasze koleżanki od królowej nazywaliśmy „farbiszankami”, bo szkoła dyrektorowała wówczas p. Farbiszewska). Sądzę, że po latach będzie wiele okazji do spotkań i szczerych rozmów. Wszystkim zainteresowanym podaję telefon przewodniczącej Komitetu Organizacyjnego, p. Krystyny Drzewińskiej: Chełm, 538-84 i 538-85 oraz informuję, że ewent. uczestnicy zjazdu powinni dokonać wpłaty w wysokości 2500 zł od osoby na konto PKO O/Chełm Nr 11514-49054-132 w terminie do 15 czerwca br. A swoją drogą komunikat o zjeździe znalazłem tylko na łamach „Odrodzenia”, myślę, że zjazd należałoby bardziej rozpropagować w środkach masowego przekazu z telewizją włącznie. (W tejże telewizji przez lata pracował nieżyjący już dziś Rysio Dzwonnik, też absolwent „Czarnieczka”!).

Gdzie zresztą nie ma absolwentów mojej budy? Staszek Bielecki jest wiceprezydentem m. st. Warszawy, Jurek Bielecki przez wiele lat był głównym szefem Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, Mirek Litwin ordynatoruje w lubelskim Szpitalu Kolejowym, Tomek Szymanek sędziuje w Lublinie, a Marek Kasz zaczyna się zaliczać do grona wybitniejszych felietonistów w PRL.

Co ja będę zresztą wyliczał, skoro nawet nie wiem dzisiaj, co robi większość moich kolegów z klasy? Tak to jest — szkolne kontakty urywają się, kiedy się wkracza w wiek dojrzały, a ja już i wiek dojrzały zaczynam powoli mieć poza sobą i schodzę z górki...

Ale cieszę się, że w drugiej połowie września br. odświeżę dawne znajomości. Myślę jednak, że trzeba będzie przypinać do marynarki kartkę z nazwiskiem. Jeśli kogoś nie widziało się lat prawie czterdziestu... Cholernie prędko ten czas leci. „Uplywa szybko życie...” — śpiewaliśmy, nie wiedząc, że aż tak szybko!

5 VI. Komisja Oświaty, Nauki i Wychowania WRN w Lublinie (a mam zaszczyt być członkiem tej komisji!) odbyła swe pierwsze w br. posiedzenie wyjazdowe w gmachu Liceum im. A. J. Czartoryskiego w Puławach. Temat był niezwykle ważny — działalność organizacji młodzieżowych w szkolnictwie ponadpodstawowym oraz ich wpływ na procesy wychowawcze. Niestety, z żalem muszę stwierdzić, że była to... kadłubowa Komisja, można powiedzieć — Komisjyka, dla której zupełnie niepotrzebnie rezerwowano autokar, bo wystarczyłaby zwykła nyska. Najwidoczniej tak samo lekceważąco potraktowali posiedzenie zaproszeni goście, którzy wyrzucili się drugim albo i trzecim garniturem. Nie zawiadli tylko gospodarze z Puław.

Sam temat jest obszerny i warto będzie nim się zająć w przyszłości poświęcając mu osobną publikację. Postaram się ją przygotować na jesieni po wizytach w poszczególnych szkołach, bo informacje udzielone przez przedstawicieli organizacji młodzieżowych były raczej cząstkowe.

Na posiedzeniu w punkcie „sprawy bieżące” wyniknęła też sprawa reakcji administracji państwowej na wnioski, jakie pod jej adresem składała Komisja. Odpowiedź jest jedna: milczenie. Jeszcze poczekamy, ale nie za długo!

Piszę te słowa i przypominam mi się niedawny artykuł Juliana Bartosza, naczelnego redaktora wrocławskiego tygodnika „Sprawy i Ludzie” pt. „Trzy ewidentne przykłady”. Bartosz pisał o reakcji na krytykę w świetle nowej ustawy o prawie prasowym. Jak wiadać, ustawa sobie, a życie sobie.

„Organa państwowe — czytamy w ustawie (rozdział 1, artykuł szósty, punkt drugi) — i inne państwowe jednostki organizacyjne oraz organizacje społeczne są obowiązane do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca. Przepis ten odnosi się też do związków zawodowych, organizacji samorządowych i innych organizacji społecznych.” Autor stwierdza, że redakcja nie zanotowała ani jednego wypadku „spontanicznej odpowiedzi”. Musi być pismo, podpis, pieczęć, znaczek, korespondencja oficjalna. „Jednakże nawet przy spełnieniu wszystkich tych warunków częste są wypadki nieodpowiadania również po upływie obligatoryjnego terminu.” Julian Bartosz podaje trzy przykłady. W przewidzianym ustawą terminie nie odpowiedzieli na publikację krytyczne w „Sprawach i Ludziach”: dyrektor wrocławskiego „Polaru”, prezydent Wrocławia i... minister sprawiedliwości.

I ja się mam dziwić, że moje krytyczne uwagi są w takim np. wydziale handlu Urzędu Miejskiego w Lublinie traktowane jak głos wołającego na puszczy? Zwłaszcza, że nie ma przecież z mojej strony i pisma, i podpisu, i pieczęci, i znaczka, i korespondencji oficjalnej?

Oznajmiam, że to się jednak zmieni! Będzie to wszystko, o czym wyżej. A po miesiącu czarno na białym napiszę, kto konkretnie lekceważy obowiązki wynikające z ustawy Sejmu PRL z 26 stycznia 1984 r.

7 VI. „Kurier Polski” poinformował, że według danych z początku 1984 r. buduje się w Polsce 1197 różnej wielkości obiektów sakralnych. Bez mała tysiąc świątyń to kościoły zupełnie nowe, ponad 150 — rozbudowywane, zaś 40 — odbudowywane ze zniszczeń wojennych lub remontowane.

Najwięcej kościołów wznosi się w woj. katowickim — 104, nowosądeckim i zamojskim — po 79, tarnowskim — 64, lubelskim — 59, tarnobrzeskim — 47, warszawskim — 46 i opolskim — 40. Dane statystyczne wskazują, że jeden kościół rzymskokatolicki przypada

obecnie w Polsce na 2,5 tysiąca mieszkańców. (Oczywiście powstają też, nieliczne, świątynie innych wyznań.)

„Kurier” przypomniał, że w 1937 r. Kościół rozporządzał łącznie 7257 świątyniami i kaplicami. Dziś — według danych z 31 grudnia 1983 r. — jest ich 14 603.

Czytaliśmy dzisiaj ten numer „Kuriera” wspólnie z moim dobrym znajomym, który nie przywykł owijać słów w bawełnę.

— Wiesz — powiedział — wczoraj w czasie procesji byłem na działce i z megafonu dobiegał mnie tubalny głos: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Z megafonu, rozumiesz, czyli ktoś tak właśnie dyrygował uczestnikami procesji. O jaką właściwie wolność chodzi? Nie dajmy się zwariować: kryzys, a tu jednocześnie między Bugiem a Odrą powstaje tysiąc kościołów. A ile domów parafialnych, wspanialszych od niejednego domu kultury? Gdyby ode mnie zależało, powiedziałbym tak: udzielam zgody na budowę kościoła, ale pod warunkiem, że jednocześnie wzniesie się ze składek wiernych szkoła, przedszkole lub dom spokojnej starości. Czy to jest normalne, że w Lublinie przez dziesięć lat ślimaczy się budowa szpitala, a w tym czasie pnie się w górę kościół jeden za drugim? I o jakich kubaturach! Ja rozumiem, słuchaj uważnie, że wierzący chcą sobie — bardziej dzięki forsie niż przestrzeganiu dziesięciorga przykazań — zapewnić Niebo, ale z drugiej strony wiem, że do tego Nieba nikt się przecież specjalnie nie śpieszy, bo gdyby tak było, to nasze szpitale nie trzeszczałyby w szwach. A tu już nie chodzi o same fundusze, ale o moce przerobowe. Co ty na to?

— Nic. Są mądrzejsi ode mnie.

Machnął ręką.

— A może przynajmniej napiszesz, co o tym myślę? Nie ja jeden zresztą! — Napiszę.

Przyrzeczenia dotrzymałem.

9 VI. Nie wspominałem w notatniku o tym, co się działo na stadionie Heysel w Brukseli przed finałowym meczem w Pucharze Europy Juventus — Liverpool. W głowie się jednak nie mieści, że ten mecz — jak ktoś napisał — na cmentarzu, a może lepiej — w kostnicy, w ogóle mógł dojść do skutku. Nie chce się wprost wierzyć, że Anglicy, których zwykło się uważać za dżentelmenów, za flegmatyków, okazali takie zdziwienie, choć to określenie też jest za słabe. Jak mogło dojść do tej wielkiej zbrodni? Tak, zbrodni, i to masowej, bo rzecz trzeba nazwać po imieniu...

Wiele na temat brukselskich wydarzeń czytałem, znam kary, jakie dotknęły angielskie kluby i wcale nie powiem, aby te decyzje o zbiorowej odpowiedzialności do mnie przemówiły. Równie dobrze można by zakazać rozgrywania meczów na stadionie Heysel albo w całej Belgii, bo organizatorzy spotkania wykazali karygodną lekkomyślność. Ostatecznie już w dzień nietrudno było przewidzieć, co się święci...

Znam chyba dobrze życie i wiem, że ten mecz przejdzie do historii. Tragicznej, ale do historii i zmagania na boiskach toczyć się będą nadal. Nikt nie zakazuje boksu, mimo że spowodował on wiele ofiar wśród samych zawodników, nikt też nie zakazuje uprawiania piłki nożnej, ale jakieś nauki z tego, co się zdarzyło, wyciągnąć trzeba. Nie tylko w Belgii!

Tymczasem Polska wygrała na wyjeździe z Albanii i Meksyk jakby bliższy. Motor też powinien utrzymać się w I lidze. Polscy kibice, lubelscy kibice się cieszą.

A rodziny zamordowanych w Brukseli pogrążone są w żałobie. Tu radość, tam płacz. Świat się kręci, choć też nie wiadomo, jak długo jeszcze...

M. A. Jaworski

KRWAWE stłumienie powstania styczniowego, zastosowane przez władze carskie represje wobec jego uczestników — polityczne, ekonomiczne i liczne zesłania na Syberię — miały świadczyć nie tylko o doraźnej sile caratu, ale także o wrażliwości na przyszłość, iż wszelka myśl o wolności jest nierealna. Choćdzilo o stworzenie wrażeń, że dążenie narodowo-wyzwoleńcze Polaków nie tylko nie ma szans powodzenia, ale nie znajdzie również szerszego wsparcia wśród tych tradycyjnych polskich sojuszników, którzy dawniej materialnie, moralnie i na polu dyplomatycznym je wspomagali. Polscy zaś powstańcy i rewolucyjni demokraci nie będą już witalni na dworach europejskich jak bohaterowie. Władze zaborcze w Królestwie tepily wszelką myśl wolną, dając do pełnej unifikacji tych ziem z imperium rosyjskim poprzez przeprowadzenie stosownych reform, w tym także administracyjnej, sądowej czy szkolnej.

Życie społeczno-polityczne w Królestwie Polskim, mimo zastosowania drastycznych środków, nigdy nie zamario, a myśli o wolnej Ojczyźnie nie zaniechano, chociaż coraz wyraźniej pojmowano tę wizję w sposób zróżnicowany. To, co dla jednych miało być wolnością, dla innych, z racji klasowych uwarunkowań, nie było do przyjęcia. Przez całe jednak czterdziestolecie, od upadku powstania styczniowego do wybuchu rewolucji w 1905 roku, myśl o niepodległości, chociaż tłumiona, drażyła umysły polskie w różnych środowiskach w kraju i na emigracji, przybierając z czasem formę walki, programowo uzasadnionej przez poszczególne nurty polskiej myśli politycznej — socjalistycznej, narodowo-demokratycznej, liberalnej czy ludowej. Każdy z tych kierunków starał się hasła narodowe propagować wśród społeczeństwa polskiego, organizować go następnie do czynnych wystąpień, by w sprzyjających warunkach podjąć kolejną próbę realizacji idei wolnej i niepodległej Polski. W końcu wieku dano temu wyraz w ulicznych manifestacjach patriotycznych, organizowanych na ulicach Warszawy z okazji historycznych rocznic — stulecia Konstytucji 3 Maja czy Powstania Kościuszkowskiego, sięgając do tradycji walki o postęp społeczny i ideały demokratyczne.

W owych latach na ulicach naszych miast pojawiła się nowa siła społeczna i nowy ruch polityczny, który, obok hasel narodowych, zaczął akcentować swoje racje społeczne, klasowe. To robotnicy w majowych pochodach, rozpedzanych brutalnie przez carską policję, domagali się polepszenia swoich warunków bytowania, kojarzonych jakże często z walką o prawa narodowe i polityczne; z czasem również zaczęto wysuwać hasła obalenia caratu i zastąpienia tego systemu rządami republikańskimi. Coraz częściej i powszechniej, a w przypadku Polskiej Partii Socjalistycznej również w programie, zaczęto akcentować konieczność propagowania idei wyzwolenia narodowego. I aczkolwiek nie było powszechnej zgody w tej kapitalnej dla narodu polskiego sprawie, ponieważ przeciwstawność interesów klasowych i racje polityczne różnych warstw społecznych oraz partii politycznych dyktowały różne podejście do realizacji wizji niepodległej Polski, to mimo tego stawała się ona powszednim chlebem i troską.

Dążenie to zostało spotęgowane, a aktywność społeczna przybrała na sile po odgłosie armatnich wystrzałów na Dalekim Wschodzie podczas wojny rosyjsko-japońskiej i po niepowodzeniach Rosji. Dlatego na wieść o dramatycznych wydarzeniach w Petersburgu 22 stycznia 1905 roku, tzw. krwawej niedzieli, gdy doszło do masakry bezbronných robotników i ich rodzin na placu przed Pałacem Zimowym, co dało początek wybuchowi długo narastającej rewolucji, pierwszej w naszym stuleciu — społeczeństwo Królestwa Polskiego zareagowało prawie natychmiast. Początek dali robotnicy, przystępując do strajku solidarnościowego ze swoimi towarzyszami rosyjskimi. Żądania ekonomiczne spłatały się z hasłami politycznymi, w tym z najważniejszym: dążeniem do obalenia carskiego panowania i zaprowadzenia rządów konstytucyjnych, gwarantujących prawa polityczne i swobody osobiste.

Z tego okresu godny jest przypomnienia fragment informacji konsula francuskiego w Warszawie, barona G. d'Anglade'a, który śledził z ogromnym zainteresowaniem nastroje społeczeństwa polskiego i pisał do Paryża: „Kłeski armii rosyjskich w Mandżurii, fatalne wydarzenia w Petersburgu i wahania Cara w sprawach rządu wzbudziły w rezultacie w Polsce ducha narodowego i zachęciły do protestów przeciwko okrucieństwu panowania rosyjskiego. Nikt tutaj nie ociąga się z głośnym manifestowaniem swego patriotyzmu polskiego, swej radości z powodu poniżenia sztandaru rosyjskiego przez żołnierzy Mikado i trudności rządu”.

W latach 1905—1907 Królestwo Polskie stało się widownią niezwyklej aktywności społeczno-politycznej wszystkich klas i warstw społecznych, z przodującym miejscem klasy robotniczej, w walce przeciw caratowi, w walce o prawa socjalne i narodowe. Niejednokrotnie na ulicach polskich miast, a także i wsi, władze zaborcze uciekały się do stosowania drastycznych środków przemocy wobec manifestacji robotniczych i patriotycznych demonstrowań, używając broni śnieżnej i palnej. Byli zabici i ranni. W czerwcu 1905 roku na ulicach Łodzi dochodzi do powstania. Stanęły barykady. Robotnicy chwycili za broń i podjęli nierówną walkę z regularnymi oddziałami wojska. Powstanie zostało w krwawy sposób stłumione, dając wszak dowody nie tylko bohaterstwa i nieugiętego hartu ducha, ale, jak określił Lenin, nowych form walki. Były to pierwsze od czasów Komuny Paryskiej

barykady na ulicach europejskich miast. Walkę podjęli także robotnicy rolni i chłopci, domagając się godziwych warunków pracy i życia oraz uregulowania stosunków agrarnych w zakresie użytkowania ziemi. Zaktywizowała się polska inteligencja, angażując się po stronie sił postępu społecznego i upatrując w rewolucji możliwość swobodnego rozwoju polskiej kultury i nauki oraz języka polskiego i posługiwania się nim publicznie, w tym w szkolnictwie i oświacie. Niezwykłą aktywność manifestowała młodzież polska, nie tylko uczestnicząc w strajku szkolnym, ale będąc w pierwszym szeregu walki o postęp społeczny i prawa narodowe.

Hasła rewolucji społecznej przepłatały się z hasłami narodowymi. W kulminacyjnym okresie nasilenia walk rewolucyjnych i oporu przeciw caratowi, na jesieni 1905 roku, gdyż życie w państwie carów zostało sparaliżowane przez ogólnorosyjski strajk powszechny, Mikołaj II zmuszony został do politycznych ustępstw. Zapowiedział zwołanie parlamentu, rządu konstytucyjnego i szereg swobód politycznych. Były to jednak zapowiedzi bez pokrycia, ale przyjęte w Królestwie Polskim przez

Rewolucja 1905 roku była, po drugie, wielkim patriotycznym zrywem szerokich rzesz społeczeństwa polskiego, nawiązującym do tradycji romantycznych walk narodowo-wyzwoleńczych. W nowych warunkach społeczno-politycznych, gdy szlachta dawno straciła atrybuty przywództwa politycznego, jej miejsce zajęła klasa robotnicza. Społeczeństwo polskie, nie tylko zaboru rosyjskiego, chociaż tu najpowszechniej, zmanifestowało swoją wolę w dążeniu do realizacji wizji wyzwolenia narodowego, o ile nie pełnego, to w każdym razie autonomii w demokratycznym państwie rosyjskim. Hasło niepodległego bytu narodowego, wolnej Polski zadomowiło się na trwałe w tych latach tylko w programie Polskiej Partii Socjalistycznej i ówczesnie nie było ono wysuwane jako postulat walki doraźnej. Natomiast podjęło cały szereg akcji, które temu miały sprzyjać w pewnej perspektywie. Walka o prawo do języka polskiego w szkole, urzędzie, sądzie; walka o polskiego nauczyciela, o polski samorząd, o swobodny rozwój kultury narodowej, o swobodę wyznania — prowadzona była niezwykle aktywnie i przybrała masowy charakter wśród robotników, chłopów, inte-

1905

Albin Koprucki

znaczące odłamy społeczeństwa jako rzeczywiste kroki ku zmianom w sposobie sprawowania władzy w państwie Romanowów. Euforia wolności i swobód politycznych zderzyła się z okrutną rzeczywistością carskiego despotyzmu, który zastosował najbardziej drastyczne środki represyjne wobec uczestników walk narodowo-wyzwoleńczych i rewolucyjnego zrywu społeczeństwa polskiego. Wprowadzono stan wojenny już w jedenastej dni od daty ukazania się tzw. manifestu wolnościowego (30 października 1905 r.). Ponownie cele i kazamaty Cytadeli Warszawskiej oraz innych więzień zapelnily się bojownikami sprawy polskiej i rewolucji socjalnej. Zamachowe koło rewolucji w państwie rosyjskim traciło powoli na sile. Jeszcze proletariat moskiewski w grudniu 1905 roku porwał za broń, jeszcze przez Królestwo Polskie na przełomie lat 1905/1906 przetoczyła się fala strajków, ale już bez poważniejszych efektów. Widoczne się stawało, że tym razem władze carskie mają jeszcze dość sił, aby ruch rewolucyjny stłumić. Pierwsza rewolucja, mimo sporadycznych wystąpień robotników i chłopów w roku następnym, powoli chyliła się ku upadkowi.

W Królestwie Polskim siły klasy robotniczej, ludu wiejskiego, inteligencji traciły też na prężności. Nawet akcje bojowe PPS (innych partii politycznych także), wielkie bohaterstwo młodego pokolenia Polaków, podejmujących nierówną walkę z bronią w rękę i dokonujących licznych, udanych akcji na carskich dygnitarzy — cywilnych i mundurowych, nie przynosiły zamierzonych celów. Stało się nadto widoczne, iż wymykają się one coraz bardziej spod kontroli kierownictwa politycznego.

Kiedy z perspektywy 80 lat spoglądamy na owe lata bohaterstwa, patriotycznych porywów, rewolucyjnych walk klasy robotniczej i ludności wiejskiej, radykalizacji polskiej inteligencji, przypomina się strofa Kazimierza Przerwy-Tetmajera:

*Nam się marzy Polska, która budzi
Gniew niewolnika i trud twardych ludzi,
Nie karabela, ni bulawa złota,
Lecz plug na roli chłopskiej i grzmot młota.*

Rewolucja 1905 roku swoimi źródłami i korzeniami wyrastała z dwu wielkich dążeń Polaków czasów niewoli zaborowej. Była to, po pierwsze, walka robotników i warstw plebejskich na wsi z niesprawiedliwością społeczną, o lepsze warunki pracy i godziwe życie. Ostrze swoje kierowała, zarówno w mieście jak i na wsi, przeciw wszystkim i wszystkim klasowemu ze strony klas posiadających. Walka na podłożu klasowym, społecznym stanowiła jedną całość, nierozdzielna część z dążeniami do obalenia carskiego panowania, które uosabiało najbardziej jaskrawo antydemokratyczny i antyludowy system reżimu politycznego. Walce klasy robotniczej w mieście i po części najbardziej grupom społecznym na wsi (robotnicy rolni, wyrobńcy, bezrolni chłopci, rzemieślnicy) przewodziły partie polityczne — Polska Partia Socjalistyczna, Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, a robotnikom żydowskim — Żydowska Socjalistyczna Partia Robotnicza — Bund.

ligencji, młodzieży, duchowieństwa katolickiego. Od walki tej nie stronili nawet przedstawiciele klas posiadających, niezależnie od intencji, jaka im w tych poczynaniach towarzyszyła. Zdawano sobie wtedy sprawę, że niepodległość jednego zaboru nie rokuje żadnych nadziei i nie może zaspokoić aspiracji Polaków. Myśl o wolnej Polsce trójzaborowej nie była wtedy możliwa, ale walka o prawa narodowe stała się świętym nakazem Polaków, niezależnie od klasowych podziałów. Nie chcieli oni godzić się przecież z sytuacją tak plastycznie wyrażoną przez S. Zeromskiego w „Śnie o szpadzie”, gdy w 1905 roku pisał: „Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawieszasz — gdy lecisz w krwawy skażona rów, z sercem zestrzelonym od kul soldackich — gdy dogasasz powolnym straceniem w stepie Sybiru, nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą nie ma nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twego trupa. Przed tobą stoją armie, Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno — dawno wykryto, nie trwa godziny”.

Ta bohaterska walka, jakże dramatyczna w śmierci Kasprzaka, Okrzei, Barona, straconego bez sądu siedemnastoletniego Jana Markowskiego w lesie krepieckim, lakiernika z fabryki maszyn i narzędzi rolniczych Wolskiego w Lublinie, podejrzanego o udział w zamachu na naczelnika stacji kolejowej w naszym mieście, i wielu, wielu innych — weszła na trwałe do naszej historii jako przykład bohaterstwa i poświęcenia dla wielkiej narodowej sprawy. Ich miejsce utrwalił cytowany już Zeromski, kiedy w dramacie „Róża” napisał: „Ten, którego zgniała głowa wola na ciebie z ziemi, nie będzie, jak mniemasz, przez całą przyszłość leżał w mokrej glinie, na niesławnym pohąbieniu ugorze. Wszystko się zmieni. Człowiek nazwiskiem Traugutt, człowiek nazwiskiem Montwill [Józef Mircki, jeden z najwybitniejszych działaczy Organizacji Bojowej PPS, stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej w 1908 roku — A. K.] dźwignie czaszkę ze skrwawionego wezglowia i wstanie dnia niewiedomego, żeby na zawsze, jak ryngraf tworzonej dumy, spocząć na piersiach najszlachetniejszych młodzińców, żeby zasnąć na łonie wiecznej miłości najczystszych dziewcząt tego plemienia. Po latach oczy młodości gorąc będą w wspomnienie niezłomnego młoczenia Montwilla, na wspomnienie jego odpowiedzi na indagacje sędziów polowych: «Nie życzę sobie wam odpowiadać» — na wspomnienie jego okrzyków pod szubienicą, do ostatniego tchu: «Niech żyje Polska Niepodległa!».

Rewolucja 1905 roku, która tak głęboko porządziła przemiany w społeczeństwie polskim w jego drodze do społecznej i narodowej wolności, była nie tylko generalną próbą Października w Rosji, ale też zasadniczym krokiem ku pełnej niepodległości Polski w 1918 roku.

Kajet literacki

Styl pisarzy niedzielnych

ZAMATORAMI usiłującymi pisać mam wieloletnie doświadczenie — że tak powiem — pedagogiczne. Gdybym był trochę większym megalomanem, niż jestem, mógłbym nawet mówić o sukcesach swoich podopiecznych, gdyż paru z nich opublikowało tomiki wierszy, jeden sprawdził się w dziennikarstwie, a jeden został nawet panem redaktorem, i to w samej Warszawie. W każdym razie jedyna moja metoda polegała na tym, że dyskutowaliśmy ze sobą godzinami. Robiłem to chyba dlatego, że pamiętałem swoje nędzne początki. Kiedy ja byłem robotnikiem piszącym, to nikt z mną o tym nawet gadać nie chciał.

Na ogół tak zwani literaci traktują amatorów tak, jak inżynierowie traktują konstruktorów perpetuum mobile. Wprawdzie toleruje się członków różnych kół młodych, ale odnosi się to do garstki młodzieży z głównych miast wojewódzkich. Ludzie starsi czy prowincjusze z mniejszych miast, nie mówiąc już o gminach, mogą zdobywać jedynie sławę szaleńców i lokalnych oryginałów. Taka bohema nie każdemu odpowiada. Czasami taki zapalenie produkuje się na akademiach w domu kultury, ale nie ma dostępu nawet do miejscowych jednodniówek opanowanych przez różnych szperaczy i laurkowiczów.

W obrazach malarzy amatorów rzuca się przede wszystkim w oczy deformacja rzeczywistości, podobna do tej, jaką spotykamy w rysunkach dzieci. Natomiast najzdolniejsi amatorzy są realistami czy hiperrealistami. Pisarze amatorzy różnią się nieco od niedzielnych malarzy. W utworach literackich prawie nie spotykamy deformacji artystycznej, chyba że za deformację tę uznamy pewną zrozumiałą nieporadność warsztatową. Pisarze ci zazwyczaj pragną jakby fotografować świat zewnętrzny czy świat uczuć. Uderza też powaga cechująca nawet humorystyki czy utwory w zamierzeniu satyryczne. Wiele dzieł ma ton wręcz kaznodziejski.

W poezji dominuje tematyka odwieczna — główne wydarzenia ostatnich tysiącleci, miłość raczej rodzinna, macierzyńska, cztery pory roku, z tym że mało kto opisuje na przykład deszczowe lato czy wyjątkowo ciepłą zimą bez śniegu, bałwana i saneczek. Chętnie też poeci przymierzają się do pejzażowych opisów stron rodzinnych. W prozie dominuje żywioł autentyzmu. Nigdy nie wiadomo, czy mamy do czynienia z powieścią czy pamiętnikiem. Poza tym nawet romantyczne czy krwawe historie przypominają reportaż lub wręcz artykuł interwencyjny. Zresztą sztuka dziennikarska uskrzydla także poetów. Może nawet w tym mają trochę racji, gdyż w prasie za mało jest literatury, a z kolei w literaturze za mało autentyzmu. Tyle wciąż mówi się o mieszanii się gatunków, ale siostrzane przecież muzy dziennikarstwa i literatury pięknej jakby tego zjawiska nie doceniały.

Jakie z tego wszystkiego wypływają wnioski? Otóż twórczość własną należy otaczać opieką i propagować, gdyż jest to najlepsza szkoła doskonaląca wrażliwość literacką. Sami amatorzy nie powinni zrażać się licznymi niepowodzeniami, gdyż w końcu przekroczą próg przynajmniej poprawności, co już pozwoli im stworzyć pamiętniki czy umożliwi im pisanie o sprawach swojego środowiska lub regionu. A to ostatecznie nie jest mało, przynajmniej na początek.

Janusz Olezak

Kamena 4

Między Tygrysem a Eufratem

MEZOPOTAMIA — starożytna kraina, położona w dorzeczu Tygrysu i Eufratu, obszar, który zajmuje współczesny Irak — ma historię tak długą, jak współczesna cywilizacja człowieka, a nawet dłuższą. Tu bowiem znajduje się Ur, siedlisko naszego pierwowzoru, świadomego społecznie przodka, tu wreszcie, w okolicach Kurny, do dziś można oglądać drzewo (w zależności od wahań frontu), z którego, według legendy, Ewa zerwała zakazane jabłko, ściągając na siebie, Adama i całe kolejne pokolenia ludzkie konieczność doznawania cierpienia i przywilej błędzenia. To tu miał znajdować się biblijny raj. Była to bowiem niegdyś żyzna i urodzajna ziemia, bogata zielenią, bujną fauną i łagodnym słońcem. Starożytna ludzkość upodobała sobie tę ziemię, dopóki środek ciężkości historii nie przesunął się na zachód, do Europy, spychając ją w zapomnienie.

Echa intensywności i ciągłości tamtego życia do dziś pobrzmiwają w obyczajach i tradycjach krainy w dorzeczu dwóch wielkich rzek. Jest to obyczajowość bogata i różnorodna, jakby na przekór beznamiętnej płaskości

powietrza: kubba — pszeniczne placki nadziewane mięsem, briani — mięso z ryżem, przyprawione pikantnym sosem, duszona baranina i ostre salatek. Na polanach, coraz bliżej słońca, chłopcy i dziewczyny tańczą monotony, nieruchliwy taniec, trzymając się za ręce, w dwóch odrębnych grupach. Islamska izolacja płci i dziś obowiązuje. Rodziny odwiedzają się wzajemnie i wciąż przemieszczają się te grupy ożywionych i radosnych ludzi. Niemuzułmanie piją arak, który zmieszany z wodą bieleje jak mleko, a wyznawcy Proroka częstują się lebanem — owczym zsiadłym mlekiem. Wszyscy piją mocną, bardzo słodką herbatę ze szklancek małych, jak kieliszki. Wszędzie słychać śmiech i rozbawienie, ale dopiero kiedy zapadnie zmierzch, góry rozświecają się setkami ognia, a samochody cudzoziemców będą zjeżdżać w dół, tworząc gigantyczne kolorowe choinki. Nam nie wolno zostawać tu dłużej. (Wymogi wojennego bezpieczeństwa.) Oni pozostaną tu jeszcze przez noc i jeden dzień, i kolejną noc. Na gazowych, przenośnych kuchenkach i przy ogniskach będą podgrzewać przysmaki, śpiewać i gawędzić. Jest to

przykrywany cybuchem. Z głośników płynie hałaśliwa muzyka o orientalnej melodyce. Są, oczywiście, w miastach i restauracje, oferujące alkohole i europejskie potrawy. Korzysta z nich jednak głównie cudzoziemcy, przeżywający tu czasowo.

Głęboki cień na obyczajowości tego kraju rzucają jednak dwie wioski, zwane „przekletemi”. Jedna na północy w pobliżu Mosulu, a druga na południu, blisko Diwanigi. Jest to najbardziej tragiczny obraz nędzy ludzkiej, jaki widziałem. Zapytywanym o nie Arabowie milczą w zalenowaniu. Jedzie się do Quatty przez wietrzy, wyboistą drogą donikąd, utwardzoną kołami niezliczonych pojazdów. Surowość islamskich obyczajów czyni istnienie tego miejsca niezwykłym. Na skraju wsi wysypisko śmieci i stare, brudne szmaty, porzucone kawałki blachy, ścierwa psów i kotów, i rozdeptane, martwe ciała osłów. Na pół dzikie psy krecą się z ujadaniem między wąskimi uliczkami, a prymitywne, naprędko skonstruowane stragany oferują zadziwiająco obszerny wybór luksusowych rzeczy. Przed domami stoją kobiety, pokazując na palcach ceny. Są w różnym wieku. Nie wychodzą już stąd nigdy. To mężczyźni trudnią się zaopatrzeniem i dostarczają wszystko, co potrzebne wiośniakom. Kobiety, od dziecka do późnej starości, przeżywają swój los, jak ich matki przed nimi, i ich córki po nich. Jedziemy wolno między domami. Sterty nieczystości zaśmiecają ulice, a półnagie dzieci biegają za samochodami, z krzykiem. Wioski te, to dziedzictwo wojny. Ciągnęły za wojskiem i kobiety, a później rząd zabrał je w dwie gromady i wyrzucił na margines życia. Może to i swójsty wentyl obyczajowego bezpieczeństwa (jak określił to jeden z Arabów), ale bez wątpienia — także miejsce ludzkiego upadku i poniżenia.

W cieniu „przekletej” wioski

Wiesław Horabik

ziemi, na której się dokonuje. Choć i ona rozdzieliła się na dwa odrębne nurty: arabski i kurdyjski. Przenikają się te nurty, łączą, ale i zachowują odrębność, wyraźną i oczywistą. Nadrzędnym spojeniem tej odrębności są chyba zwyczaje i obrzędy islamu, którego moc rozciąga się nad całym arabskim światem.

Jest więc ogromna liczba meczetów, małych, całkiem małych i ogromnych, z pozłacanymi kopułkami i misternie rzeźbionymi krzywkami. Głos muezina rozbrzmiewa donośnie, z wieżyczki minaretu, monotony zawodzeniem, wzmacniany przez głośniki, zwrócone w cztery strony świata. Dniem wolnym od pracy, poświęconym na odpoczywanie i kontemplację, jest tu piątek.

Islam nie jest w Iraku tak drapieżny, jak gdzie indziej, choć obecność religii w życiu tego kraju jest wyraźna. Przy drogach i na dziedzińcach urzędów starzy ludzie rozkładają dywaniki, lub kawałki szmat, zdejmują sandały i w głębokich skłonach oddają cześć Allahowi. Wstęp do meczetu jest niewiernym zakazany. Są więc one okrytymi atmosferą odmienności i powagi, tajemniczymi przybytkami, które kuszą turystę swą wspaniałą architekturą, pozostają niedostępnym bastionem izolacji. Wytężone religijne zakrywanie kobiety od stóp do głów, z czarnym welonem na twarzy, a czasami z upiorną, skórzaną maską, zniekształcającą jej figurę obazernym, czarnym obłajaniem z reguły przywilejem kobiet starszych, zamieszkujących wioski i małe miasta. W Bagdadzie i innych dużych ośrodkach moda europejska wkracza zdecydowanie i skutecznie. Tylko Kurdyjki noszą nieodmiennie suknie z białej i kolorowych materiałów, przetykanych złotą i srebrną nitką, obojętne na wahanía mody. A Arabowie w swych długich, przewieszonych szatach i Kurdowie w szerokiach hajdawerach przywodzą na pamięć elementy naszych sarmackich strojów, z czasów wiecznych utarczek z wyznawcami Proroka.

Pod koniec marca, wraz z naszym Świętem Wiosny, mają swoje święto i Kurdowie. Nazywa się ono Nawrooz i jest dniem pikników, ogólnej zabawy i biesiadowania pod gołym niebem.

Od wczesnych godzin rannych posuwają się krętymi drogami w stronę gór barwnie zdobione samochody, obwieszone dziećmiakami i koszami z jedzeniem. Buczą klaksony, dźwięczą trąbki i dudnią bębniaki z osłej skóry. Strojne szaty ludzkie mienią się kolorowo. Pojazdy przepychają się przez check-point (kontrolny punkt przy wyjeździe z miasta) i szosą pełną zakrętasów pną się na Rawanduz i Szaglawę. Już za pierwszymi zakolami drogi widać ludzi biwakujących przy trasie. Miejscowe przysmaki, rozłożone na serwetkach z lnu, muszą bardzo smakować w tym chłodnym, ostrym

święto jakby krzepiące widokiem rozbudzonej na nowo przyrody i nieodmiennie wypełniające serca ludzi poczuciem nadziei.

Tak obchodzą Kurdowie Dzień Wiosny.

I my tam byliśmy.

Jasnozielone góry stały nad nami, powietrze było czyste i ostre, tańczyliśmy i mieliśmy gości. Codzienna nieufność roztopiała się w tej atmosferze zbliżenia i, mówiąc o sobie, dowiedzieliśmy się więcej o ich kraju. A gdy zapadł już zmierzch i na polany kładły się głębokie cienie, wzmagając się chłód i wystrzały kolory, z zalemem zjeżdżaliśmy w dół do miasta.

Było to święto pełne radości i zbliżenia. I było w nim coś z atmosfery naszych świąt grudniowych, kiedy to nagle poczucie pokoju nawiedza człowieka.

Codziennie życie arabskie nie jest bowiem dla nas, Europejczyków, wypielnione atrakcją. Miejscowa ludność chowa się przeważnie w niskich, jednopiętrowych domkach, otoczonych zewsząd wysokim murem. Trudno coś dostrzec zza tego muru. W wioskach mieszka się przeważnie w chatkach z gliny, trzymających ciepło w ziemi, a dopuszczających chłód latem. Nierzadko przed taką chatką roztawia się mercedes czy toyota. Trudno do niej trafić obcemu, bo wieś pozostaje nadal ostoją konserwatywnej niechęci do tego, co odmiennie. Ma i taka chatka swoją główną izbę, której podłoga jest ciasno ubitym klepiskiem, a pod ścianami rozłożone są maty i poduszki do siedzenia w kucki. Długa, kretonowa zasłona oddziela pewną jej część na kuchnię, gdzie krzątają się kobiety nakładając jadło na wielkie cynowe misy, z których wszyscy mężczyźni posilają się wspólnie. To do kobiet należy gros prac gospodarskich, z uprawą ziemi włącznie. Wiele z nich ma tatuaże na twarzach i na rękach oraz ozdobne pinezki w nosie. Gdy podają nam jedzenie, uważają, by nie dotknąć naszej ręki. Byłby to grzech nieczystości.

Mężczyźni są od załatwiania interesów i zarządzania.

Nie ma tu kawiarni, gdzie można usiąść, odpocząć i porozmawiać. Królują herbaciarnie, przykryte byle jak słomianym dachem, wsparte na palach. Siedzi się w nich na długich ławkach, z białymi, szebelkowatymi oparciami i pije tę zadziwiającą herbatę, która dziwnie orzeźwia i oświeca. Mężczyźni grają w domino, lub, milcząc, palą długie fajki, z grubym,

i wielki, ponury cień rozciągnięty nad krajem.

Szybko zostawiamy tę wioskę za plecami, a rudo-białe taksówki wiozą nowych, arabskich amatorów wolnej miłości.

Wesela w Iraku są nie mniej huczne i barwne, niż u nas. Domy, w których są dziewczyny do wzięcia, ozdabiają duże, zielone paprocie. Małżeństwo jest transakcją i wydatkiem. Na prowincji nadal trzeba nieraz dobrze uszczuplić rodowy majątek, jeśli pragnie się zmienić stan. Wieloletstwo jest jednak gasnącą rzadkością, choć związki już zawarte trwają nadal bez zmian. I w tym jednak względzie idzie przemiana, mimo zachęty ze strony religii. Na weselnym rauciu mężczyźni i kobiety także bawią się oddzielnie. Jest na nim dużo tańca i chóralne śpiewy, i obfitość jadła. Orszak weselny z buczeniem klaksonów wyplasa innych użytkowników drogi, a balon i strojna lalka na masce podrygują, jak u nas.

Za to pogrzeby są ciche. Mężczyźni w jedną noc, a kobiety w drugą oddają hołd zmarłemu przez wspólne czuwanie. Cmentarze tu ubogie i jakby wtopione w kamienistość ziemi; brak na nich wielkich granitowych posągów i misternych pomników, jak u nas. Nierzadko kamień lub gliniana tabliczka znaczą miejsce wiecznego spoczynku. Tylko bardzo zamożni nakładają na grób rodzaj drucianej klatki, co jest dużą osobliwością. A żołnierze polegli na froncie, w prostych, drewnianych trumnach, okręconych flagą, wędrują na dachach taksówek wszczepionych wzdłuż kraju, by spocząć na największym cmentarzysku Iraku, w świętym mieście Najaf.

Życie codzienne Arabów pozbawione jest więc wielu pokus namiętności europejskiej cywilizacji. I jest jakby mniej czynne i bogate, ale na pewno bardziej domowe i spokojne. Ich obyczaje i tradycje, to tradycje i obyczaje rodzinne, wyznaczone przez kolejne etapy ludzkiego przemijania. Południowa sješta i długie noce wysiadywania, kiedy wreszcie wieczorny chłód przynosi ulgę od upału, wyznaczają szczególne momenty bytowania. Pozbawieni większości naszych rozrywków, Arabowie są jakby ubożsi w atrakcyjność przeżywania świata. Skupienie jednak wokół domu, jako centrum życia i oddanie się rodzinie bez reszty, czyni ich bogatszymi o rozstrwożone gdzieś w naszel cywilizacji poczucie przynależności i uwalnia ich od wielu stresów, niepokojów i od poczucia samotności w wielkim, obojętnym, rozdręganym świecie.

Jest w tym może nieco lenistwa, ale jest i bez wątpienia szczypta mądrości.

(Ciąg dalszy nastąpi)

— przed niespełną jedenastą laty, we wrześniowym numerze „Kamienia” z 1974 roku, ukazał się obszerny artykuł...

— ...autorskiego autorstwa, zabytłymi: „Odejaście Rozhina”. Zaczynał się tak: „A więc stało się to, co przysięż czy później musiało nastąpić: Andrzej Rozhin rozstaje się ze studenckim drzewem teatralnym, opuszcza założony przez siebie Akademicki Teatr „Gong 2” i obejmuje dyrektorską oraz kierowniczą artystyczną Państwowego Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Czynie to, co w sobie trzynastoletni cztery lata życia, ma za sobą trzynastoletni okres pobytu w Lublinie [...]. Dzięki Rozhinowi Lublin w okresie jego „dyrekcji” wysunął się — jeżeli chodzi o studencki ruch teatralny [...] — na jedno z czołowych miejsc w kraju. [...] Rozhin stworzył teatr o szerokim oddziały, nie tylko godnie partnerujący, ale okresami i „niebezpiecznie” rywalizujący z Teatrem im. Osterwy. [...] W ciągu trzynastu lat istnienia — 22 premiery, prawie 600 spektakli. Udział w ponad 20 festiwalach krajowych i międzynarodowych, [...] liczne nagrody. Organizacja stałej, liczącej się w środowisku kulturalnym imprezy — „Studencka Wiosna Teatralna”. Wolała teatru: po ZSRR, Jugosławii, Francji, Italii, RFN, Węgrzech. No i rzecz zupełnie niespotykana: 20 premier, a więc prawie wszystkie, jakie wystawił „Gong”, to realizacje reżyserskie Andrzeja Rozhina”.

— Dosyc, dosyc! Ta są rzeczy w Lublinie dobrze znane.

— Zapominasz, że w czasie, kiedy wojażowało po Polsce, wyrosło nowe pokolenie twórców oraz odbiorców kultury; ludzie, którzy w tamtych czasach liczyli sobie po kuku lub kilkanaście lat, i kiedy to robili na nowo wybudowanej scenie „Chatki Zaka” „Pieśni i songów pana Brechta” czy „Dialog na Świętym Narodzenia”, oni bawili się piłą, a nie chodzili do teatru. Ale z drugiej strony, masz rację: w Lublinie nie tylko pamięta się dobre lata działalności „Gongu 2”, ale żyje tutaj i pracuje spora grupa dawnej „gongowej” społeczności, która wyniosła bardzo wiele z lat swojego pobytu na tamtej scenie. Działalność „Gongu” to już historia lubelskiej kultury. Ale że historii zawsze towarzyszy legenda, więc i ja teraz — witaając cię na łamach „Kamienia”, jako nowego dyrektora i kierownika artystycznego Teatru im. Osterwy — chciałbym przypomnieć wesele sprzed lat jedenaście, która głosiła, że Rozhin, wyjeżdżając do Gorzowa Wielkopolskiego, miał powiedzieć, iż choć nie udało mu się przekształcić „Gongu” w drugą lubelską scenę zawodową, to ma nadzieję wrócić jeszcze do Lublina i zrobić tutaj teatr.

— Tak mówilem? A wiesz, że zupełnie nie pamiętam. Ale prawdą jest, że pracując w ciągu ostatnich lat w kilku miastach Polski, prowadząc teatry w Gorzowie, Olsztynie, Szczecinie, nigdy nie odżegnywałem się od powrotu do Lublina. Inna sprawa, że nigdy też nie myślałem o ewentualnym powrocie do tamtej dawnej, lubelskiej formuły teatru z „Chatki Zaka”. To już okres dla mnie zdecydowanie zamknięty.

— W sensie artystycznym Rozhin stronił raczej od jasnego, studenckiego „eksperymentowania”, szedł w kierunku pozyskania masowej widowni, prezentując przed nią tematykę niekonwencjonalną i niekonwencjonalne realizacje, ale zawsze zrozumiałe dla widza. Były tam i czyste poetyckie „składanki” i dramaty staropolskie, sztuki współczesnych polskich pisarzy i spektakle polityczne, zaangażowane. Przy takiej różnorodności tematycznej nad sceną „Gongu 2” zawsze unosiła się aura poezji. Bo ten „teatr Rozhina” zawsze był i prawdopodobnie będzie [...] teatrem poetyckim”.

— To twój punkt widzenia „mojego” teatru sprzed lat. Ale czy konieczne musimy rozmawiać o „Gongu”? W wywiadach, których udzieliłem ostatnio lubelskim gazetom...

— Dobrze. Mówimy zatem o dniu dzisiejszym, o powrocie do Lublina i o Teatrze im. Osterwy, w którym zaczynaś właśnie reżyserować swoją pierwszą sztukę na tułajskich deskach. Ale, ale... O ile sobie przypominam, przed osiemnastu laty, na tej właśnie scenie, omal nie rozpoczęła się twój kariera „reżysera zawodowego”?

— Racja. W 1967 r. ówczesny dyrektor, Jerzy Torończyk, zaproponował mi spróbowanie sił na „prawdziwej scenie”. Byłem już wówczas, od

Spotkanie po latach

POWRÓT

Rozmowa z dyrektorem Teatru im. J. Osterwy Andrzejem Rozhinem

sześciu lat zawodowym aktorem w Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie, studiowałem polonistykę na UMCS; na scenie „Gongu 2” miałem za sobą realizacje m.in. „Pieśni i songów pana Brechta”, „Elżbiety Bam” Daniela Charmsa, światowej prapremiery tej sztuki, i widowiska „Za: Kronika 1917 roku”. No więc Jerzy Torończyk zaproponował mi zrobienie „Trismusa” Grochowiaka; pracowałem nad tekstem, Grzegorz Sądcki, nasz scenograf z „Gongu”, przygotował projekt dekoracji, mieliśmy wchodzić w próby. Ale zbliżyły się wakacje, koniec sezonu teatralnego, przyszedł nowy kierownik artystyczny Kazimierz Braun i jakoś tak się ta cała sprawa rozmyła. W cztery lata później, zamiast w Lublinie, robiłem dyplom na Wybrzeżu, reżyserując, na zaproszenie dyrektora Marka Okopińskiego, „Kartotekę” Różewicza i „Lament” Choromańskiego. Teraz jako pierwszą lubelską realizację wzięłem na warsztat najnowszą, nigdzie jeszcze nie graną, sztukę Stanisława Tyma — „Okreć”.

— Stanisław Tym, swego czasu jeden z filarów warszawskiego STS-u, znany w późniejszych latach doskonale z zawodowej sceny komediowej, z kabaretu, filmu i telewizji, prowadził dzisiaj teatr dramatyczny w Elblągu. Jest jednym z tych, którzy, podobnie jak ty, obejmując stanowiska reżyserów, czy też dyrektorów teatrów zawodowych, nieli już za sobą duże doświadczenie, wyniesione z tak zwanego „teatru studenckiego”. Przewyższając często wielu „dyplomowanych” profesjonalistów po szkole teatralnej, którym o ileż łatwiej stały się zażyteczne, z powodu posiadania „papierka”, początkowe szlaki kariery zawodowej...

— Tak, trzeba by tutaj jeszcze wymienić m.in. Hermana, Litwińca, Jasińskiego, Kajzara... Jedni pozostali przy swoich dawnych teatrach, które „uprofesjonalniono”, jak choćby Teatr STU czy „Kalambur”, inni reżyserują lub dyktują scenom tradycyjnie profesjonalnym. A jeżeli już jesteśmy przy słowie „tradycja”, to zdecydowałem się na „Okreć” Stasia Tyma, świadomie nawiązując do pewnej określonej tradycji, do początków oraz istoty pewnego zjawiska kulturowego, tego nowego oddechu, tego nowum w polskiej kulturze, jakim było to wszystko, co wiązało się z istnieniem i działalnością warszawskiego STS-u. Z tym dawnym, ale wciąż przecież nie zestarzałym „esteesowskim” spojrzeniem na świat, z którym się całe nasze pokolenie utożsamiało. Jest więc w „Okreć” dużo ironii oraz sarkazmu wobec dzisiejszego dnia, ale także gorącości serca tego samego Pola-ka, który przed trzydziestu laty miał dwadzieścia, a dzisiaj pięćdziesiąt lat. To jest, nawiasem mówiąc, cecha charakterystyczna bardzo wielu ludzi, którzy kiedyś przeszli przez zetespowską szkołę.

— Pamiętam nawet takie hasło: „ZSP — szkołą obywatelskiego wychowania”.

— Tamto „stare” ZSP było, istotnie, czymś w rodzaju szkoły obywatelskiej postaw. Uczyło zaangażowania w sprawy kraju bez używania wielkich słów...

— ...i teatralnych gestów...

— ...popierało tych, którzy chcieli pracować społecznie, i tych, którzy mieli ambicje artystyczne. Dawało swobodę działania, szerokiego „rozwijania skrzydeł”. Myślę, że dzięki tamtej atmosferze, w której miałem możliwość wzrastania, jestem wciąż bliski czasom młodości. O wiele, jak sądzę, bliższy niż niektórym moim rówolatkowie, działającym w tamtych latach także, ale w trochę innych „parafiach”. Tamto ZSP nie było wtedy przecież ani specjalnie bogate, ani specjalnie ustosunkowane. Ale miało atmosferę. W tej atmosferze można było robić coś, właściwie... z niczego. To, co robiliśmy z „Gongiem” na przykład... Przecież ten teatr powstawał de facto z niczego, na wariackich papierach. I okazywało się, że jak bardzo się chce, to można zrobić i wielką, prawdziwą scenę w „Chatce Zaka” z pełnym wyposażeniem, i dekoracje, kostiumy, na które „nie ma pieniędzy”, i zorganizować kolejną Studencką Wiosnę Teatralną, choć dawno skończyły się stosowne fundusze. Jak w to się wszystko osobiście angażowali rektor Seidler, a następnie rektor Skrzydło...

— Chciałbym ci przypomnieć, że przed chwilą mówiłeś, że byśmy wciąż nie rozmawiali o „Gongu”...

— Ano, właśnie! Ale widocznie inaczej nie można. Przynajmniej tutaj, w Lublinie. Wiesz, dziwna sprawa: przyjeżdżam po jedenastu latach do tego miasta, i wszędzie znajomi. Jakby jakiś most spiał tę czasową lukę, kiedy ja dyktowałem w Gorzowie, Koszalinie i Szczecinie, gdy byłem etatowym reżyserem w Teatrze Popularnym w Warszawie, a ostatnio w Teatrze Narodowym. Tyle scen w różnych miastach, tyle sztuk wyreżyserowanych, tylu ludzi poznanych, i oto...

— Wychylasz się z okna swojego „dyrektorskiego” gabinetu, przy ulicy Pstrońskiego...

— A tak! Właśnie tak! Bez żartów: widzę jednego, drugiego, trzeciego „starego znajomego”, z dawnych lubelskich lat. W teatrze jest nadal Rómek Kruczkowski, jest pan Aleksander Kobyliński, działają Ania Torończykowa, w stolarni młody Ostrowski mówi: „Panie dyrektorze, pan pamięta mojego ojca, stolarza w Teatrze Lalki, jak pan jeszcze pracował u dyrektora Ochmańskiego; ja po ojcu przejąłem fach i zamieszkałem do teatru...” Miko jest czuć atmosferę życzliwości i sympatii w kręgu ludzi, którym nowy dyrektor jest przedstawiany „z urzędu”. Choć wielu z nich pamięta mnie ze wspólnych działań w studenckich latach. Kiedyś razem rośliśmy, Bogu dzięki, bez konfliktów, więc jest nadzieja, że i dzisiaj stać nas będzie na wzajemne zrozumienie i współdziałanie w tej

delikatnej materii, jaką jest Sztuka. Bo teatr zwykło się nazywać „świętynią Sztuki”, ale pełni on także, a przynajmniej powinien, funkcję „kulturalnego salonu miasta”...

— I przez to podlega zarówno muzom, jak i administracji.

— I jest rzeczą bezwzględnie konieczną dla dobra teatru, żeby taki właśnie stosunek zachowywał niewzruszoną równowagę.

— Wróćmy do spraw Sztuki: jakiego rodzaju teatr pociąga cię najbardziej? Które ze swoich realizacji „profesjonalnych”, tych, jakich nie oglądaliśmy w Lublinie, uważasz za najbardziej znaczące?

— „Kartoteka” Różewicza; ona wyznaczyła nurt moich poszukiwań, jeśli chodzi o współczesną polską dramaturgię, a także „Dwie głowy ptaka” Terleckiego (w Teatrze Polskim w Szczecinie). Jeżeli chodzi o polską klasykę, to inscenizacja i reżyseria „Kosydiana” w teatrze w Koszalinie; mia także z tego względu, iż udało mi się przełamać przekonanie, że w „tym” teatrze i w „takim” środowisku jest niemożliwością zrealizowanie ciekawego artystycznie, a zarazem cieszącego się dużą popularnością, spektaklu z wielkiego repertuaru romantycznego. Okazało się, że teatr był stale pełen, że na przedstawienia walała także młodzież szkolna. I podobnie było z „Roméo i Julią”, moim pierwszym Szekspiernym. Cenię sobie cały nurt „brechtowski” z „Matką Courage” na czele (na scenie teatru szczecińskiego) oraz realizacje ekspresjonistów niemieckich, przede wszystkim „Święto wiosny” Wedekinda. Dalej: szereg realizacji dramatów pisarzy radzieckich, począwszy od „gongowskiego” jeszcze przedstawienia „Elżbiety Bam” Charmsa, poprzez Gelmana, Wampilowa, Korionę. No i anglojęzyczne: „Edukacja Riffy” Russella w warszawskim „Ateum” w ubiegłym sezonie, czy „Przeprowadzka” Diamsona.

— A co w najbliższej przyszłości, jeżeli chodzi o Lublin? O „Okreć” Tyma już mówiłeś. Co jeszcze?

— W próby wchodzi również „Opera za trzy grosze”, także w mojej reżyserii, oraz „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a w reżyserii Jacka Zembrowskiego. Tą sztuką zainaugurujemy kolejny sezon małej sceny — „Reduty 85”. Więcej nie powiem, aż u progu nowego sezonu teatralnego, na jesieni.

— Jeszcze jedno pytanie: „ustawiasz” kierowaną przez siebie scenę w stronę repertuaru przede wszystkim współczesnego?

— W najbliższym sezonie — tak. Ale myślę też o polskim repertuarze romantycznym. Tym najwyższej próby, odwołującym się do spraw losu człowieka i niepodległości narodu. Może „Dziady”, których na tej scenie chyba nigdy nie wystawiano? Może „Noc listopadowa”?

Rozmawiał: Mirosław Derecki

Książki potrzebne

SYNTAZY, monografie, opracowania naukowe, podręczniki, książki popularnonaukowe i publicystyczne, tomy reportaży, przewodniki i foldery krajoznawcze... Między innymi: Gabriela Brzęka „Henryk Raabe 1882—1954”, Ireneusza Cabana „PZPR, Zapis trzech dekad”, Zdzisława Cackowskiego „Główne zagadnienia i kierunki filozofii”, Lesława Gnoła „Lubelszczyzna. Dzieje. Ludzie. Krajobrazy”, Leona Jabłońskiego „Słownik mikrobiologii lekarskiej”, Władysława Kucharskiego „Związek Polaków Zgoda w Republice Federalnej Niemiec”, Jana Lewandowskiego „Polacy w Szwajcarii”, Tadeusza Łoposkiego „Tajemnice starożytnego żelugu”, Zygmunta Mańkowskiego „Między Wisłą a Bugiem 1929—1944”, Henryka Rostkowskiego „Czas powrotu”, Wiesława Ślaskowskiego „Emigracja polska we Francji 1871—1918”, Romana Tokarczyka „Współczesne doktryny polityczne”, Stanisława Wiśniewskiego „Eugeniusz Tarle, historyk epoki napoleońskiej”, Adama A. Witusika „O Zamoyskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej”, Włodzimierza Wójcickiego „Wojenne losy dzieł Matejki”.

Oto kilkanaście zaledwie tytułów, wybranych dla przykładu ze 181 pozycji wystawy książek Oddziału Lubel-

skiego Stowarzyszenia Autorów Polskich, która pod nazwą „Fakt i refleksja” czynna była w maju w Klubie MPiK przy ul. Leonarda — dzięki życzliwości i konkretnej pomocy ze strony tej placówki oraz za sprawą Wydawnictwa Lubelskiego, editora zdecydowanej większości pokazanych tomów. Rejestr jest krótki, ale sprawa, którą sygnalizuje, niebagatelna. Okazuje się bowiem, że powstałe w grudniu 1982 roku Stowarzyszenie reprezentuje wysoki potencjał twórczy, a jego specyfika dziś właśnie nabiera wyjątkowej wagi społecznej.

Publikacje członków SAP posiadają różne walory poznawcze, sytuują się na odmiennych poziomach dyscypliny metodologicznej i refleksji intelektualnej, jedne liczą po kilkaset stron, inne — kilkadziesiąt, bywa, że mniej. Pokazują ich grupę autorzy, wybitni lub zyskujący prestiż naukowy, widoczny fragment tego dorobku sygnują nazwiska dziennikarzy, niektóre książki wyszły spod pióra pamiętnikarzy lub pasjonatów jednego tematu, wykonujących na co dzień pracę odległą od pisarskiej.

Ta różnorodność — problemowa, tematyczna, koncepcyjna, warsztatowa, profesjonalna — zdaje się wykluczać istnienie czegoś w rodzaju swornika ideowego w Stowarzyszeniu. Ale to pozory. Do innego bowiem wniosku dojdziemy, gdy spojrzymy na społeczną rolę książek, a zatem i twórców zrzeszonych w SAP. Otóż — jak pod-

powiada wspomniana wystawa i obserwacja recepcji czytelników — wszystkie publikacje członków Stowarzyszenia realnie uczestniczą w kreowaniu kultury: regionalnej i ogólnopolskiej, biorą udział w kształtowaniu zbiorowych systemów wartości i horyzontów poznawczych. Bez względu bowiem na swój profil merytoryczno-formalny, są to książki społecznie użyteczne, społecznie potrzebne. Ukazują się często w wysokiach nakładach, wznowiane — z reguły nie zalegają półek księgarskich. A nieustannie przechodzą próby prawdy w obiegu publicznym, niejako upowszechniają racjonalną postawę wobec świata, uczą szacunku dla rozumnego orientowania się w jego meandrach.

Szczególnie chyba doniosła jest dziś ta ostatnia ich rola — w czasach frontalnego ataku ciemnogrodu i siernięjnej mistyki na wszystko, co racjonalne, oparte na metodycznej obserwacji, doświadczeniu i logice, czy choćby na przeświadczeniu, że rzeczywistość to był obiektywny, który, owszem, można kształtować, ale przy pomocy rozumu, nie zaś — magicznych zaklęć.

Dodajmy na koniec, że lubelskie Stowarzyszenie Autorów Polskich liczy 45 członków i rozwija się z miesiąca na miesiąc. W skali kraju SAP skupia ponad 1100 twórców — tak właśnie, bo Stowarzyszenie posiada wszelkie uprawnienia organizacji twórczej (o której powołanie zabiegano już w drugiej połowie lat czterdziestych i później, niestety bezskutecznie, aż do 1982 roku).

K.

MIASTECZKO, rozplaszczona na dwóch wzgórzach, przecinała płytka, błotnista rzeczka, która w parku miejskim rozlewała się w zarosły zieliskiem staw. Dochodzące stamtąd rechotanie łab pamiętał jako jedno z niewielu wspomnień dzieciństwa. Teraz patrzył na zieloną skorupę, gdzieś przykrytą taflą mułistej, brunatnej wody. Na skraju stawu, w szlamie i zielsku, dostrzegł drobne szkielety brunatnych łab. Leżały ciche i wysuszone, dołączając jedynie swój cuchnący odór do smrodu dobywającego się z płytkiego dołu. Dookoła trzepotały się na wietrze polamane, przyszarzone trzciny i szuwary. Dalej, wytryskując z wysuszonej na beton czerwonej ziemi parku, wystrzelały niebotyczne, niespokojne i drzące drzewa. Za nimi, na jednym z dwu wzgórz, rozciągało się Stare Miasto. Dostojne, potężne mury kamieniczek, przytłoczone ciężarem wieków, były zarazem lekkie i finezyjne, ubrane w niezliczone wykusze, kolumnady. Zwartym masywem, przerywanym tylko wązowymi uliczkami, otaczały rynek, nad którym królował ratusz, arcydzieło architektury Odrodzenia. Duma i jeden z nielicznych dowodów dawnej świetności miasta.

Właśnie w podcieniach tych budowli przechadzali się mieszkańcy, pozwalając sobie na porównanie miasta z jednym z włoskich cudów renesansowej myśli. Zdaniem zdecydowanej mniejszości, owo porównanie wzięło się raczej od popękanych, pokrytych liszajami murów i fetoru wielowiecznej kłoałki, jaki unosił się nad tym pozbawionym kanalizacji miastem. Smród łajna przefrunął właśnie nad drzącymi wierzchołkami drzew i zmieszał się z odorem wyciekającym ze stawu.

Odwrócił się tyłem do źródła drażniącego nozdrza. Przeszedł kilka kroków i w ocienionej części stawu zobaczył dwie, taplające się w wodnistej brei, fok. Były szare. Patrzyły na niego wylupiającymi oczami i co chwila wykonywały przednimi płatkami takie ruchy, jakby usiłowały zaklaskać. Gdzieś, zza ukrytej za linią krzewów akacji, fuknęła orkiestra dęta, ćwicząca przed jutrzejszym świętem. Wszystkie słupy ogłoszeniowe oblepione były informacją o...set leciu miasta. Transparenty witały go u wejścia do parku. Pewnie były też po drugiej stronie w Nowym Mieście, do którego szedł: do domu, w którym się urodził, gdzie spodziewał się znaleźć przyjazny dotyk wspomnień z dzieciństwa, balsam na obolałość pogubienia w jasności losu. Wiedzieć? Wiedza o nas samych przychodzi zwykle zbyt późno. W czasie, gdy można zmierzyć się jedynie z namysłem nad sensem życia. Tak więc nie szukał prawdy, chciał jedynie chwilę odetchnąć, zagubić się w czasie, który nie znał pytań, wątpliwości, porażek.

A teraz bał się przekroczyć tę alejkę, która wyprowadzała go na słoneczny plac zakonczony bramą otwierającą drogę do Nowego Miasta. Bał się, bo zbyt dużo nowego widział po drodze ze stacji. W parku nie było zieleni, tylko czerwona, wypalona ziemia, wyschnięty staw, smród starych uliczek, których zapach zawsze kojarzył mu się z wonią wysuszonego końskiego nawozu, rozsywanego przez dorożkarskie chabety, jakich tu na rynku zawsze było pełno, gdy wraz z właścicielami czekały na ulicznych turystów czy podróżnych. Kursowały na stałej trasie: stacja — rynek. Zastępowały taksówki. Na Nowe Miasto z rzadka jechały. Tam nie przyjeżdżali turyści, a i z mieszkańcami mało kto wyjeżdżał. Wracając na Stare Miasto, uświadomił sobie, że na rynku ani na stacji dorożek nie widzieli.

Hotel stanowił typowe pomieszczenie ambicji i możliwości. Wilgotne wnętrza, ozdobione wszędzie, gdzie tylko wydawało się to architektowi możliwe, drewnem i metaloplastyką. Za to dziewczyna, która siedziała za ladą recepcji, była naprawdę piękna, wyposażona na dodatek w jeden z tych nieprzemijających uśmiechów, które tchną ciepłem i dobrocią nawet wówczas, gdy właściciele jako jedyny dokument urody pozostaje fotografia z bardzo wczesnych lat.

— Pani tu od dawna? — zapytał, podchodząc do drewniano-metalowej lady recepcji.

— Tylko na chwilę, zastępuję koleżankę. I błagam, niech mi pan nie mówi komplementów.

Kłapanie szczęk było wystarczająco głośne, by nie mógł mieć wątpliwości, że usłyszała jego zmieszanie.

— Mój wariant nr 4 odpadł — powiedział poważnie — a nowego nie potrafię bez wstępu. Będę musiał jeszcze raz wejść.

Skierował się ku wyjściu, ale dziewczyna zatrzymała go.

— Niech pan zaczeka. Jedna jedynka jest wolna.

— Mam na imię Cyryl — podszedł do lady, wziął klucz. — Nie chce pani sprawdzić, czy jestem żonaty? — podał jej dowód. Odłożyła go na półeczkę. — Zamelduje pana koleżanka. Niech pan nie zapomni rano odebrać.

Znowu się uśmiechnęła. Ot tak, w przestrzeń, jakby nie mając świadomości, jaki bezcenny skarb tronił. Zawrócił już ze schodów.

— Jutro jest święto! Co pani...?

— Świętuję. Do widzenia.

— Można tu coś zjeść?

Wskazała za siebie na drzwi z napisem: „Wejście tylko dla gości hotelowych”. Odwrócił się i poszedł schodami na górę. A teraz, kiedy wrócił do hotelu, jej już nie było. W tym samym miejscu siedziała brzydka dziewczyna o antypatycznym uśmiechu. Zawrócił jeszcze raz na schody.

Pokój na piętrze wąski, wysoki. Nieduże okno wpuszczało niewiele światła. Wieczorny upał wleciał przez uchylony łufcik strugę rozgrzanego zaduchu. Spojrzał w stronę parku. Rozmazana nieco linia drzew drżała niespokojnie. Dlaczego drżą drzewa — zastanawiał się. Potężne kasztanowce, topole. Nie było to drzenie liści poruszanych wiatrem. Czuł, że całe drzewa wibrują w jakimś nieokreślonym leku. Tłukące się na parapecie gołębie wyrwały go z zadumy.

Zaczął rozpakowywać niewielką fiolę rzeczy, które zwykle wozil ze sobą, kiedy coś go skłoniło, żeby jechał raz spojrzeć na park. Drzewa straciły już ciemną wyrazistość kształtów, stanowiły jedynie niepokojącą plamę, ale dla niego ten niepokój znaczył teraz coś innego. Czaiło się tam groźne, bo pełne wspomnień, życie. Tu, w tym miasteczku, miał swój początek. Nieraz później zastanawiał się nad znaczeniem tej miejscowości w jego życiu. Zawsze czuł na sobie jej ciężar, w którym była nostalgia starych murów, ospały błęsk życia i głęboko zakorzeniona potrzeba zwracania się do przeszłości po to, by przydawać im blasku. Wychowany w spokojnym przewalaniu się dnia w dzień następny, zawsze odczuwał lek przed Jaskrawością Nowego, tego, które rozciągało się po drugiej stronie parku. Tam był obcy.

Odszedł od okna zaciągniętego już zmiernikiem i rozproszonym światłem przysgasających nieustannie latarni. Głód przynaglił go do opuszczenia pokoju.

W restauracji zaczynał się dancing. W części przeznaczony dla gości hotelowych znalazł wolny stolik. Jakimś cudem natychmiast podszedł kelner. Zamówił kureczaka z groszkiem, bo był tylko kureczak z groszkiem.

— Proponuję dwie wódki na rozgrzanie — kon-

fidencjonalnie pochylił się nad nim kelner. — Kureczak i tak będzie zimny zanim przyniosę.

Zgodził się na dwie wódki. — Kureczak był zimny i twardy, wódka ciepła, a orkiestra grała tak, że dopiero po drugim kieliszku zaczęło mu się wydawać, że rozpoznaje melodię. Później nieco rozpoznał głos śpiewającej dziewczyny.

...

Szli po schodach prowadzących na piętro. Joanna zatrzymała się przed drzwiami swojego pokoju.



Rys. Józef Tarłowski

— Jestem zmęczona — powiedziała — śmiertelnie zmęczona. Otworzyła drzwi, popatrzyła w głąb ciemnego pokoju. — Ale mam jednocześnie ochotę na szampana.

Pobiegł na dół. Kiedy przechodził obok drzwi frontowych wydało mu się, że przy podcieniach jednej z uliczek rynku dostrzega niewielkie zbiegowisko. Ale chyba mu się tak tylko zdawało. Kiedy wrócił, Joanna stała przy oknie, patrzyła w dół, na ulicę. Podszedł do niej i zobaczył, jak od oświetlonego naprzeciw okna oderwał się niewyraźny, skurczony cień i poszybował w ciemny korytarz uliczki. Joanna pospiesznie zamknęła okno.

— Co to było? — zapytał.

— Chcę szampana — powiedziała.

Podał jej napełniony kieliszek — wypila go chełwie i wyciągnęła rękę w jego stronę, żądając następnej porcji. Nalał.

— Co to było? — powtórzył pytanie.

— Stary człowiek — odpowiedziała. — W tym mieście starzy ludzie zawsze wyskakują z okien. Przyspieszają śmierć.

Odrzucił ją. Szarpnął okno. Spojrzał w dół. Zobaczył niewiele. Kilka cieni nikięło za węglem, wyznaczającym koniec ulicy, zdawało mu się, że coś niesły.

— Dlaczego? — odwrócił się do Joanny. Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami.

— Jestem zmęczona. Mówiłam ci. Idź już.

Ruszył do drzwi. Ale wówczas Joanna usiadła. Mówiła nie patrząc na niego:

— Czasem są za starzy, żeby trwać. A miasto się dusi. Przychodzą młodzi i odchodzą... Nie chcą żyć w starych murach, kątem. Przyglądając się, jak starzy powoli umierają, a wraz z nimi zamiera miasto. Uciekają do Nowego. Kiedy tylko ludzie czują, że są już starzy, wyskakują z okien swoich domów. Młodzi odnoszą lech na cmentarz i chowają nocą. Zawsze wcześniej szykują grób. Przed kamienicą czekają na skok. Następnego dnia mówi się, że stary człowiek odszedł. Wtedy dopiero młodzi obejmują dom...

— Chyba nie mówisz tego poważnie. To przerażające. Upiorne.

Oparła brodę na podciągniętych kolanach. Mówiła monotonna, jakby go nie słyszała.

— Dzisiejszej nocy będzie wiele skoków z okna... Jutro święto. Jedność tradycji, historii, dni wielkości i nadziei. W młodych jest nadzieja...

Podszedł do drzwi. Joanna podniosła głowę i spojrzała na niego ze swoim zwykłym, może tylko bardziej znudzonym, uśmiechem.

— Możesz zostać — powiedziała. — Dobrze jest mieć czasem przy sobie kobietę.

Pokręcił głową.

— Pójdę... — Stojąc w drzwiach zapytał: — Jesteś stąd?

— Nie. Przejazdem. Od kilku lat tu bywam — dodała pospiesznie i odwróciła oczy.

Wydawało mu się, że nie będzie mógł zasnąć, ciągle słyszał jej monotony głos, opowiadający historię, którą można by wziąć za makabryczny żart. Ale już wiedział, że to nie był żart. Wyskoczył z łóżka i podszedł do okna. Zobaczył tylko ciemny mur parkowej zieleni. Odetchnął z ulgą. Wrócił, położył się i zasnął natychmiast. Obudził się tuż przed świtem. Joanna naga, stała przy jego łóżku.

— Mogę zostać z tobą? Tylko przytulić się i zasnąć? Męczę się tak cały czas! Wzięłam kilka proszków i nie nie pomaga. To pewnie ten szampan.

Na pół senny przesunął się bez słowa. Dziewczyna wsunęła się pod koldrę i po chwili już spała. I on znowu zasnął, mimo tak niepowodzonej sytuacji.

PODRÓŻ

Andrzej Wojnach

Rano Joanny przy nim nie było. Postanowił zjeść śniadanie, a później... Ale ponownie porwał go to brodenie po ciasnych uliczkach, między brudnymi ścianami, pełne oczekiwanie, że coś się objawi, coś się odmieni. Nie zmieniło się nic, bo na niektóre pytania odpowiedzi nie ma. I być nie może, bo jak całą ludzką kulturę, wszystkie jej znaczenia określić nagle prostą odpowiedzią wyznaczającą sens i kryteria życia? To jakby mgłą usiłować zgarnąć w jedną śnieżną kulę.

Uświadomiwszy sobie bezowocne błądzenie, poczuł głód. Zawrócił, szedł nieco okrężnie. Widział po drodze rozpoczynający się leniwy ruch, świętującego miasta. Dostrzegł kolorowe przybranie niektórych domów, a przed nimi — ale może to było złudzenie — niewielkie, ciemne plamy lśniące wilgocią świeżo umytego bruku.

W kawiarni hotelowej było pusto. Zajął miejsce przy stoliku. Gdy na salę weszła Joanna, poczuł się trochę skrepowany, uważając, że dotychczasowa zażyłość, miała swoje miejsce i czas, ale powinna już się skończyć. Usiadła i przez chwilę milczała, nie znajdując widać pomostu między niedawnym świtem, a tym pustym, wczesnym przedpołudniem.

— Chodziłeś po uliczkach? — zaczęła, ale zaraz paskrośna śmiechem. — Przepraszam, mówię jak zaskodzona żona. Mam wrażenie, że czegoś szukasz. Łaziłam za tobą — zacerwieniła się, gdy przyjrzał się jej uważnie. — Przepraszam — szepnęła.

On jednak nie czekał na te słowa, nie czekał na żadne inne, bo oto chciał komuś powiedzieć, wyrzucić z siebie wszystko, co dręczyło go od wielu dni.

— Przychodzą czasem takie chwile, kiedy robimy przymiarke do życia i wtedy, rozumiesz, jest za obszernie, jakby się czas i przestrzeń pozamieniały i widać tylko ogrom dookoła. A boli, żeś ty w tym taki maleńki, rozwichrzony i źle, że brak tej ostrości człowieczej, o którą mógłbyś swą swoją rozmazaną małość oprzeć, powieścić Ty, dziecko, w nieswojej dzielnicy miasta, bezradnie poszukujące drogi, lub chociaż przyjaznej dloni, nie wiesz, czego szukasz, nie znasz imienia, ani miejsca.

Później, kiedy już można wychynąć z tego rozgoroczenia i leku, przetrzeć się, żeby mgłą odgarniając z oczu, zaczyna się wszystko układać nagle i niespodziewanie. Po prostu zbyt wiele jest niezrozumiałego. Wówczas wiesz, ale wiedza nie jest ci już potrzebna, bo żyjesz zwyczajnie, pełen niezrozumienia dla innych i dla siebie. Łakniesz pomatu, w niedokończonych myślach, braku zamierzeń, aż znowu kiedyś przestajesz ze sobą rozmawiać, nie lubisz patrzeć na siebie, zastanawiasz się, dlaczego jeszcze jesteś ze sobą. Po co dławić się w tym nieskończonym tete-tete, ty i ty, i jeszcze tysiącne bibeloty, początki, zamierzenia. Jeżeli wystarcza sił, wyjeżdżasz na dłużej, jeżeli nie, też jedziesz najbliższym tramwajem i siedzisz na końcowym przystanku zmarznięty i nieszczęśliwy...

Umilkł, paterzył na podłogę.

— Pewnie wydało ci się to wszystko niezrozumiałym bełkotem — zapytał po chwili nieśmiało go oczekiwanie.

— Niezupełnie. Wydaje mi się, że kryjesz się w zasłone słów, próbując przydać wagi dręczącym cię pytaniom. A problem jest prosty. Zagubiłeś się gdzieś w życiu i jesteś sam. Nie masz nikogo, kto mógłby podsunąć poetyczną ideę. Atrakcyjny punkt wyjścia na dalsze dni. Inaczej mówiąc, jesteś samotny i kompletnie bez pomysłu na siebie.

— Chodź — podniosła się z krzesła i ruszyła do wyjścia z kawiarni.

— Gdzie idziemy? — zapytał już na ulicy.

— Chciałaś wiedzieć, jak zamierzałam świętować.

— Ach, to — poczuł się rozczarowany.

Szybko przeszedł przez park i znalazł się naraz w strefie jeszcze niczyjej. Stare, drewniane domy, a raczej walące się rudery, ukryte za zarosniętymi drzewami i krzewami posesje. Kilkaset metrów dalej ciążyły nad horyzontem ulicy wysokie, kikutnastopiętrowe bloki. Stamtąd dochodził gwar wielotysięcznego tłumu.

— Po co tam pójdziemy? Bawić się? Razem z tą krwiożerczą tłuszcą? Przecież nie mamy z nią nic wspólnego.

Joanna zatrzymała się. Rozejrzała dookoła.
— To chyba gdzieś tutaj. Tam dalej są już tylko nowe osiedla.
— Czego szukasz?
— To ty szukasz miejsc, które znałeś, których nie możesz przyłożyć do swoich obolałości — zarwała.
— Nie.
— Dlaczego? Masz okazję. Raz, i pozbędziesz się złudzeń... Gdzie to było? Tu, a może tamta uliczka?

Ruszył przed siebie. Joanna szła tuż za nim. Czekala. Doszli tak prawie do linii bloków, kiedy zobaczył tuż przy nowoczesnym osiedlu swoją uliczkę. Była taka, jaką pamiętał. Wąska, wysypiana żużlem, okolona drewnianymi chatami i ogrodami. W jej perspektywie zabrakło ogromu odległości, jakie przebywał codziennie, biegnąc z jednego jej końca do drugiego. Czas jest przykładem na to, że przestrzeń się zmienia. Brakowało nie dlatego, że ten jej wylot, który kończył się otwartą przestrzenią pól okolonych tylko z jednej strony potężną, jak mury twierdzy, ścianą niebotycznych topól cmentarza i nie dlatego, że w jedną ze ścian ulicy wdarył się 10-piętrowy wieżowiec. Nie! Ona sama była teraz krótsza, mniejsza, brudniejsza. Nie warta wspomnień.

Joanna podeszła i położyła mu głowę na ramieniu.

— Jak się czujesz? — zapytała uśmiechając się.
— Dziękuję ci za ten uśmiech — powiedział. — Wiesz, mam wrażenie, że jestem jak na pogrzebie. Wydaje mi się, że przez cały czas ukrywałem przed tobą tę całą prostą prawdę, że przyjechałem tu, żeby coś zakończyć, a może rozstać się na zawsze.

— Z kim?
— Z nim... Z miastem... Teraz wiem, że nim gardzę. Jak się gardzi skalaną świętością.

Wracali z rozbawionym, spoconym od słońca i krzyku tłumem. Szli uliczkami na stronę rynku. Zauważył, że kwiaty i girlandy zdobiące fronty domów, zniknęły. Pojawily się kolorowe światła, bluminiujące całe Stare Miasto nieczym drzewko noworoczne. Dochodzili już do placu przed ratuszem, kiedy zauważył, że na jednym z domów wisza nadal nie uprzątnięte girlandy i kwiaty. Ludzie, idąc, machinalnie niemal, przechodzili na drugą stronę uliczki.

— Patrz — zatrzymał Joannę, ale wyrwała mu się i szła dalej, jak inni omijając dom.

Wokół ratusza trwał wielki festyn. Przed kawiarnią i restauracją wystawiono stoliki i krzesła. Pośrodku, na zaimprovizowanym parkiecie, kręcili się ludzie w rytm płynącej z głośnika muzyki. Niebo i mury kamienne wytapetowane były światłem wycinającym z zapadającego zmroku portale i gzymsy domów.

Joanna gdzieś zniknęła. Usiadł więc w jednym z ogródków i przyglądając się tańczącym ludziom sączył pomału wódkę. Dawno minął nastrój popołudnia. Poczul się pusty i bezradny. Myślał, że jeszcze chwila, a upije się na smutno. Kobięca ręka zatrzymała jego dłoń podnoszącą kolejny kieliszek. Joanna, przebrana w wieczorową sukienkę, wskazała mu parkiet. Bez oporu dał się prowadzić w kierunku tańczących, wyzuty zupełnie ze świadomości tego, co ma robić. Tańczyć? Wydalo mu się to rzeczą całkiem nową. Pokonując wypełniający go bezwład, zrobił pierwszy krok. Tańczyli. Ani lepiej, ani gorzej niż inni, ale tańczyli i stało się to najważniejszą sprawą jego życia: ten taniec pełen milczenia, dziwnych impulsów płynących od obojga i przenikających się nawzajem. Bogactwo znaczeń zawartych w krótkich, elektrycznych spięciach, w jakie zamieniały się ich wzajemne dotknięcia, nadzieje, co płynęły z kolan. Ignających do siebie podbrzuszy i bioder, obietnica zamknięta w kole ramienia otaczającego kark. Oto czym jeszcze był ten taniec: nieustannym potwierdzeniem istnienia drugiego człowieka i własnej z nim samotności.

Nie pił przez resztę wieczoru, ale teraz, rano, czuł, że brakuje mu trochę wódki. Nawet nie odrobiny. Miał ochotę upić się do nieprzytomności, żeby zapomnieć, albo wszystko inaczej wytłumaczyć. Wyjaśnić słowa, które Joanna wyrzuciła z siebie z jakimś bolesnym wstydem.

— Ten dom, z zielonymi girlandami... pamiętasz?

— Tak?
— To miał być mój dom. To jest mój dom, ale zostanie taki opuszczony. Chyba, że mi pomożesz tam wejść. Wejźmy tam razem.

Usiadł przerażony. Patrzył na dziewczynę, która z odwróconą twarzą szeptała jakieś magiczne słowa. Zastanowił się, dlaczego to powiedziała. Jaka musiała być w niej rozpacz, jakie poszukiwanie swojego miejsca, może nawet większe niż jego, ale nie mógł jej pomóc.

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę.
— Przepraszam — powiedziała. — Nie powinienam cię o to prosić. Masz swoje sprawy, własną ucieczkę.

Wyszła z jego łóżka, opuściła jego pokój, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby zabrać rzeczony na podłogę, jak łach, sukienkę.

Chwilę potem wydało mu się, że słyszy jakiś głuchy stuk. Nie podchodził do okna. Wiedział, że przy niktącej w ciemności anonimowe cienie. Pomyślał, że gdy jutro wyjdzie na ulicę nie zobaczy już zielonych girland na narożnym domu.

I teraz, właśnie teraz, chciałby się upić do nieprzytomności, żeby nie wracać do tego miasteczka po raz nieskończony. Nie musiałby powtarzać muśnięcia warg na kosmyku włosów. Potrafiłby wytłumaczyć niemożność tych ust, zamykających jego usta delikatnym pocałunkiem. Tak, nieważna była ta noc rozpoczęta i nie dokończona, utopiona w znużeniu, obleczone nie spełnioną nadzieją. Nieważna tak, że odtąd będzie podróżowała z nim w tych samych pociągach, ciągnęła się szeregiem wciąż tych samych myśli. Noc, po której stało się możliwe każde inne życie.

W pierwszą rocznicę śmierci

Janusz Gaudyn

JANUSZ Gaudyn, współpracownik „Kamenu”, urodził się 25 lutego 1935 r. w Katowicach-Ochojcu. W trzecim roku życia zamieszkał wraz z rodzicami w Karwinie-Frysztacie na Zaolziu (Czechosłowacja). W 1953 r. ukończył Polskie Gimnazjum im. J. Słowackiego w Orłowej, a w 1959 r. Wydział Lekarski Uniwersytetu Pалаckiego w Olomuńcu. Jako specjalista chorób wewnętrznych prowadził przychodnię rejonową w Trzyciezu. Należał do najlepszych lekarzy-diaagnostyków podległych Szpitalowi z Polikliniką w Trzyciezu. Zmarł 22 czerwca 1984 r. w wyniku obrażeń odniesionych w tragicznym wypadku. Polska kultura na Zaolziu poniosła olbrzymią stratę.

Janusz Gaudyn był niezwykle aktywny, posiadał ogromną siłę witalną. Pisał, fotografował, kolekcjonował obrazy i książki, prezował literatom w Sekcji Literacko-Artystycznej.

Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji i członkiem Grupy Literackiej '63 przy Domu Kultury w Trzyciezu. Jeździł z odczytami o Polsce do kół PZKO, był członkiem Plenum ZG PZKO i Rady Redakcyjnej związkowego miesięcznika „Zwrot”, szałal środowisko twórcze organizując w swojej wiejskiej zagrodzie zwanej „Soplicowem” regularne spotkania aktorów, literatów i artystów, wymyślił i urzeczywistnił cykl imprez pn. „Hutnicze Dni Literatury”, zabiegał o wydawanie książki członków SLA i GL '63, wojażował na spotkania Unii Polskich Pisarzy Medyków i katowickiego Oddziału Związku Literatów Polskich, których był członkiem. Nie opuścił żadnej ważniejszej imprezy zaolziańskiej. Rozdawał się i spalał popędzany nakazem permanentnego uczestnictwa.

Nie wiadomo, kiedy znajdował czas na pisanie. Był mistrzem krótkiej formy. To wiele wyjaśnia, ale nie tłumaczy celności i głębi jego aforyzmów. Bo kiedy znajdował bodaj chwilę czasu na refleksję? Miał talent. Fraszkę potrafił komponować nawet przy biesiadnym stoliku lub w obecności tłumy czytelników. Podobno Jan Izidor Sztudynger uważał go za jednego godnego siebie następcę. Większość z wyrukowanych utworów potwierdza trafność tej opinii. Ale Janusz Gaudyn był także utalentowanym poetą. Po opublikowaniu kilkudziesięciu epitafiów w antologii „Mrowisko” (1964) i po wydaniu zbioru „Fraszki i fraszeczki” (1967) oraz świętego tomiku „Zdania” (1969) zaczął odnajdywać w sobie nie ujawnione dotychczas pokłady liryki. W 1969 r. wydał wspólnie z Gabrielem Palowskim tomik wierszy pt. „Duet”. Uczestnicząc w latach siedemdziesiątych

w licznie organizowanych na Zaolziu konkursach jednego wiersza, zyskiwał nagrody za wiersze o tematyce śląskiej. W tym czasie zaczął również pisać stylizowane na ludowo-piosenki śląskie. W 1980 ogłosił poemat liryczny „List” oraz tomik liryków antywojennych pt.



Repr. Henryk Tomaszczyk

„My”. W 1983 r. wyszedł jego ostatni zbiór 129 fraszek o miłości pt. „Z tej ziemi”. Poniżej drukujemy kilka jego utworów.

(kk)



Pragnęłam
i pragnę poznać
Czułam
i czuję miłość
Coś rozwiera się
poza mną
Coś staje
za moimi plecami
Trwam

między pożądanym
a pragnieniem
przyobiecane nam nieba

NASZA POEZJA

Nie umie prosto
mówić o chlebie
Chce zadziwiać

i ściągnąć maski
niedojrzałe do opadnięcia

U NAS

Pomników mamy niewiele
Ludzie nie płaczą
ani nie tańczą za głośno
Na Śląsku
umiera się cicho
bo tutaj ludziom
odwagi i zasług
wystarcza na mleczenie

FRASZKI

MAŻ

Muśnie
i uśnie.

STARYM PANNOM

Było warto
być upartą?

GŁOS KOWALA

Każdy z nas ma coś z kowala.
Jak nie miech, to młot nawala.

O DON JUANACH

Z kwiatka na kwiatek jak motylek,
w końcu do badyła przylegl.

RADA DLA MEŻÓW

Szalej!
Byle od domu dalej.

O KOGUCIE

Taka pieska już natura
— zawsze nęci obca kura.

RADA

Twe powodzenie u kobiet
mojej zawdzięczasz radzie.
Nie mów: Niech pani siada,
ale: Niech pani się kładzie.

LOS

Taki już los, damo:
każdy chce to samo.

POZNANEJ NOCĄ

Nikommu nie mów,
żem z tobą grzeszył.
Ja nie grzeszyłem,
jam się tobą cieszył.

Poczta literacka

Krzysztof A. C. Swidnik. Wolę te wiersze, które są mniej wydumane, w których nie wyczuwa się z góry ustalonej tezy. W Pana wieku spontaniczność zapisu jest najcenniejszą rekwizyją prawdy, jak choćby widać to w „Astrach”. Pozwala też osiągnąć lepszy efekt artystyczny. Proszę za jakiś czas przesłać nowe utwory.

Krzysztof W. Hrubieszów. Zestaw nadesłanych wierszy, zatytułowany „Jak ty”, pozwala mi sądzić, iż Pańskie możliwości poetyckie są niemale. Utwory nawiązujące do motywów religijnych, budzą zainteresowanie. Do druku w „Kamieniu” wybrałbym jednak któryś spośród trzech: „Po drugiej stronie”, „...Stary wiatrak” i „Na gitarze”. Oczekuję dalszych niespodzianek.

Marek D. Radom. Opowiadanie „Lęk” nie pozwala mi zorientować się lepiej w Pańskich możliwościach. Proszę o następne teksty prozatorskie. W „Lęku” nastąpiło pomieszanie narracji nowelistycznej z formą felietonową. Proporcje treściowe także nie sprzyjają klarowności intencji autorskich. Tekst wymaga dalszej pracy, wyrugowania powtórzeń. W Pana wieku (25 lat) być może trudne jeszcze o kreację postaci i jej problemów. Niech Pan z początku sięga po własne przeżycia i swego najbliższego otoczenia. Ciekawy jestem Pańskiego rozwoju w dziedzinie prozy. A dołączone wiersze nie zainteresowały mnie.

Ireneusz W. Horodło. Pomijam wiersz satyryczny — taki sobie. W pozostałych szlachetne intencje górują nad wykonaniem.

Józef K. Kraśnik. W Pana utworach nie znalazłem żadnych wartości. Z proponowanej współpracy nie skorzystamy.

TJ

ZADŁO i ZDROWIE

Ciąg dalszy ze str. 1

raniam prof. Zbigniewa Garnuszewskiego. Stosował również propolis i preparaty ziołowe. W bliższym zainteresowaniu jadłem dopomógł przypadek: przeczytana gdzieś informacja, że w Podkowie Lesnej metoda uzależnień stosowana jest przez pewnego inżyniera. Miał on pomóc przejąć tradycję leczenia jadłem od swoich przodków z Litwy. Lekarz z Kazimierza odwiedził inżyniera z Podkowie. Rozmowa odbyła się w atmosferze daleko posuniętej dyplomacji. Inżynier starał się powiedzieć jak najmniej, a doktor jak najwięcej wyciągnąć. Najciekawsze w metodzie „litewskiej” było to, iż pszczoła, żądla nie traciła żądla i nie ginęła. Na przeszkodzie stała siatka o odpowiednio dobranych otworach, które pozwalały na przejście szpica żądla, lecz uniemożliwiały przejście zadziórów (haczyków). Inżynier nie wyjawiał jednak ani przekroju siatki, ani materiału, z jakiego została wykonana.

Pożytki z wizyty były jednak ewidentne. Metoda wykazywała przewagę nad dotąd stosowanymi. Była lepsza od klasycznego żądlenia i pozostawiania żądla na pewien czas w ciele (u terapeutów radzieckich nawet do 20 minut), bowiem była mniej bolesna dla pacjenta, nie powodowała śmierci owada. Była także lepsza od metod pośrednich polegających na pozyskaniu jadu, a następnie wstrzyknięciu go choremu, bo usuwała możliwość zanieczyszczenia jadu w trakcie pobierania go od pszczoły.

Jan Giza rozpoczął więc poszukiwania literatury dotyczącej apitoksynoterapii i... siatki. Z jednym i drugim był kłopot. W polskim piśmiennictwie medycznym informacji o stosowaniu jadu nie było żadnych, ze sprowadzeniem publikacji radzieckich, francuskich, angielskich — problemy. Szczęście dopisało jednak... Doktor poznał inżyniera z puławskich Azotów, który zaangażował się w sprawę i po kilku próbach, pomiarach grubości kilkuset żadeł pszczelich dopasował wreszcie przekrój siatki na 0,35 milimetra, a następnie wykonał urządzenie pozwalające na praktyczne jej zastosowanie. Techniczna strona leczenia była zatem przygotowana. Rozpoczęła się wędrówka po

najrozmaitszych placówkach medycznych, gdzie dr Giza szukał porady, wsparcia i akceptacji dla terapii, którą zamierzał podjąć. Rezultaty były podobne. „Wiecie, kolego, jak chcecie, to robcie, ale... na własne ryzyko. Jakby co, to ja z wami nie rozmawiałem. Macie jasność?” — słyszał. Odpowiadał, że ma jasność pełną.

W czasie tych peregrynacji narodził się Gizie pomysł skojarzenia apitoksynoterapii z akupunkturą. Też pomógł przypadek. Grubość szpica igły i żądla były bardzo zbliżone. Dlaczego by nie spróbować żądlenia w punkty akupunktury? Swoim pomysłem podzielił się z profesorem Garnuszewskim i napotkał — o dziwo — życzliwość i zrozumienie oraz zachętę do prób.

I tak, na wariackich papierach, wiosną 1980 roku kierownik Ośrodka Zdrowia w Wilkowie dr Jan Giza, zaczął „przystawiać pszczoły”. Postanowił skoncentrować się na chorobach reumatycznych, w których skuteczność jadu — wg literatury — była największa.

Pierwszym pacjentem był rolnik z chorobą zwyrodnieniową stawów i kręgosłupa. Doktor Giza wybrał trzy punkty akupunktury zalecane do nakłuwania w tej chorobie. Podczas pierwszego zabiegu chory otrzymał po pięć ukuć w wybrane miejsca i dziesięć w miejsca bolesne. Liczby ukućle wzrastały co drugi dzień o pięć. Po czwartym zabiegu nastąpiła radykalna poprawa samopoczucia, ustąpiły bóle. Kolejny pacjent ostatecznie przekonał lekarza, Stanisława G. bezskutecznie leczył się na Oddziale Neurologicznym puławskiego ZOZ i Klinice Neurologicznej PSK-4 w Lublinie. Choroba rozpoczęła się w marcu 1979 roku bólami w okolicy krzyżowo-łędźwiowej, które promieniowały wzdłuż lewej nogi. Wkrótce chory przestał chodzić w ogóle. Kuracja rozpoczęła się od pięciu a zakończyła na 50 ukućleń w czasie jednego seansu. Od trzeciej wizyty bóle stopniowo ustępowały do całkowitego zaniku. Stanisław G. mógł nawet pracować w polu. W 1981 roku kuracja została powtórzona. Do dziś pacjent czuje się dobrze.

— Okres pięcioletni wydaje się odpowiedni dla poczynienia pewnych podsumowań doświadczeń leczniczych

— mówi Jan Giza. — Metodę stosuję w chorobie zwyrodnieniowej stawów i kręgosłupa, reumatoidalnym zapaleniu stawów oraz różnych pozostawowych zespołach bólowych. W ubiegłym roku leczenie rozpoczęłem u 61 osób (w sumie przez pięć lat było ich ponad 150), z których 13 musiało odpisać z powodu odczynów miejscowych. Każdą kurację poprzedzam dwiema próbami uczuleniowymi i gdy stwierdzam uczulenie, pacjent musi zrezygnować. Tak więc 48 chorych poddawanych było kuracji od 260 do 1330 ukućleń (przeciętnie — 650) zarówno w punkty akupunktury, jak i miejsca bolesne. W 70 proc. przypadków uzyskałem dużą poprawę, co oznacza zwiększony zakres ruchów w chorych stawach, ustąpienie obrzęków stawów, ustąpienie bólów, poprawę samopoczucia, apetytu i ogólnej sprawności organizmu. W 28 proc. nastąpiła częściowa poprawa, nastąpiło subiektywne zmniejszenie dolegliwości. U 2 proc. pacjentów nie stwierdziłem żadnej poprawy. To w przypadku choroby zwyrodnieniowej.

Leczyłem również 29 chorych na reumatoidalne zapalenie stawów. Pięć osób musiało zrezygnować z powodu uczulenia na jad. Stosowałem od 380 do 1420 (przeciętnie 730) ukućleń. Pozytywne wyniki obiektywne i subiektywne uzyskałem w 67 proc., subiektywną poprawę w 29 proc., a brak poprawy w 4 proc. przypadków.

Z obserwacji chorych w czasie terapii i po jej zakończeniu, poza poprawą w schorzeniu zasadniczym wielokrotnie stwierdzałem ustępowanie współwystępujących zaburzeń nerwicznych, obniżenie ciśnienia, polepszenie snu i apetytu, chęć do pracy.

Tyle doktor Giza, Sucha relacja. Bez emocji i epatowania. O swoich rezultatach mówił niedawno (23—26 maja br.) na V Międzynarodowym Sympozjum Apiterapii, które odbywało się w Krakowie. Pierwsze odbyło się w 1974 roku w Madrycie a poprzednie (IV) w Izraelu. Protektorat nad sympozjum przyjął minister rolnictwa dr hab. Stanisław Zięba, a w skład komitetu honorowego wchodził m.in. wiceminister zdrowia i opieki społecznej gen. bryg. prof. dr hab. Jerzy Bończak. Ponadto cała plejada autorzytetów medycznych, pszczelarskich, pszczelnictw. Wystąpienie Jana Giza było jed-

nym z dwóch poświęconych leczeniu wykorzystaniu jadu pszczoły. Przyjęte zostało z pełnym uznaniem i bez jakiegokolwiek uwag merytorycznych.

Rektor krakowskiej AM, prof. dr hab. Marek Sych, otwierając sympozjum powiedział iż historia medycyny dobitnie dowodzi że metody niekonwencjonalne zawsze przynosiły ludzkości największe korzyści. Dlatego też należy łączyć doświadczenia dawnej i naturalnej medycyny z obecnym postępowaniem naukowym. W takim duchu toczyły się obrady poświęcone również działaniu propolisu, pierzgi, miodu, mleczka, skuteczności tych produktów w terapii, profilaktyce, chorob. żywienia, kosmetyce.

Minister Zięba zapowiedział utworzenie mieszanej komisji MRIGZ i MZIOS do spraw apiterapii. Kończy się zatem, — jak wielokrotnie mówiono na sympozjum — okres „podziemnej” działalności apiterapeutów. Kolejny etap na formalno-prawne unormowanie. Takowe istnieje już w wielu krajach świata (np. w ZSRR od 1959 roku) i opieszłość nasza w tej materii niedługo znacznie budzić śmieszność. Niestety — pozalokalną Rzeczą przypomina, jako żywo, perypetie akupunktury, na której legalizację zawładł się dwadzieścia lat temu prof. Zbigniew Garnuszewski i którą za swego życia przeprowadził Miejsmy nadzieję, iż dr Jan Giza doczeka się za życia oficjalnego uznania dla swojej metody niosącej ludziom ulgę, budzącej międzynarodowe zainteresowanie i przysparzającej rozgłosu wilkowskie-
mu ośrodkowi zdrowia.

Temu ostatniemu zresztą już nie, bowiem dzięki walnej pomocy kolegów-lekarzy ule z terenu ośrodka zabrano, a na Gize nasłano kilka komisji. Obecnie leczy więc w miejscu zamieszkania, w Kazimierzu przy ulicy Krakowskiej 25, gdzie ma prywatny gabinet. I od którego — żeby była jasność — płaci dwa podatki: jeden w Puławach, drugi — w Kazimierzu.

— Apiterapia ludzka już z zaścianków medycyny ludowej — mówi dr Giza. — Stanie się z pewnością dziedziną XXI wieku. Osobiście mam wielką satysfakcję ją uprawiać, nie tylko w wydaniu apitoksynoterapii, ale także leczenia propolisem dającym świetne rezultaty w wielu chorobach (np. wszelkich trudno gojących się ranach, owrzodzeniach, niektórych chorobach oczu, chorobach układu pokarmowego). Uważam, że przyszłość medycyny leży właśnie w metodach naturalnych i niekonwencjonalnych. Koszty własne takiego przeświadczenia naturalnie się płaci, ale w porównaniu ze zdrowiem i jego przywracaniem są one minimalne.

Waldemar Piasecki

STRACHY NA LACHY

Ciąg dalszy ze str. 1

lekarzy, a bardziej od wrodzonej siły organizmu i od tych, którzy pośrednio mu zagrażają oraz szkodzą. Lekarze mogą najwyżej ostrzegać, a, jak wiadomo, jest to zajęcie „sobie a muzom”. Natomiast rzeczywistość jest taka, że coraz więcej osób pada pod naporem chorób cywilizacyjnych, czyli adaptacyjnych, i śmiertelność już nie maleje, lecz raczej wzrasta. Medycyna zdecydowanie przegrywa ze śmiercią. Na raka nie choruje się ze starości, jak dotychczas utrzymywano. Na raka po prostu choruje się, jak na inne choroby, np. układu krążenia, których inwazji nie można przeszkodzić.

Co prawda medycyna przedłuża życie chorym z nowotworami, ale przecież raczej tych chorób nie usuwa. Z roku na rok zwiększa się grupa ludzi o pełnej mobilizacji i sprawności umysłu, pozostawionych sobie ze świadomością umierania rozciągniętego w czasie.

No więc, co robić? Pewien intelektualista odpowiada: spuścić majtki i tak chodzić, lecz można również przeczytać książkę Juliana Aleksandrowicza „Nie ma nieuleczalnych chorób”. Wynika z niej, że znając środowiskowe uwarunkowania chorób — można im trochę zapobiegać. Ustalono np. że ludność wiejska częściej choruje na raka żołądka, zaś w mieście popularniejszy jest rak płuca. Dlaczego jednak na wsi choruje się na raka żołądka?

Poprzez liczne ankiety i badania porównawcze wydało się, że na wsi je się byle jak i pożywienie jest bardziej zanieczyszczone. Brak wodociągów, przedostawanie się do pożywienia nadmiaru nawozów azotowych, peklowanie mięsa saletrą, złe przechowywanie żywności, a więc uaktywnianie się toksynotwórczych grzybów, niedobór witamin C i

E oraz biopierwiastków — zdecydowanie sprzyjają nowotworom. Natomiast wiadomo, że nowotworom żołądka źle robi selen, obecny razem z innymi biopierwiastkami w soli naturalnej, grubo mielonym ziarnie i wodach mineralnych pitej u źródła. Nie więc prościej, jak wzbogacić rośliny jadalne w odpowiednie biopierwiastki, a ich dystrybucję oprzeć o znajomość składu chemicznego gleb. Ba!

Skoro profilaktyka nowotworowa ma dotyczyć gleby i żywności — trzeba zmienić spojrzenie na rolnictwo. Połączyć wiedzę naukową z rozeznaniami w środowisku naturalnym i jeszcze tego połączenia dopilnować, żeby nie było, jak ze snopowiazkami i sznurkiem. Zmiana w świadomości, to jednak kwestia czasu, np. potrzebnego na przeżycie jednego pokolenia. Czas ten gwarantuje większą pewność, że drugie pokolenie doceni żywienie nie tylko kaloryczne, ale również z witaminami i biopierwiastkami, i bez toksyn.

Pod Krakowem przeprowadzono badania zwierząt żyjących w skażonym powietrzu, które w 40 proc. ulegały chorobom nowotworowym. Gdy dostały dietę ubogomagnezową — nowotwór zaatakował je wszystkie. Uproszczeniem byłoby twierdzić, że niedobór lub nadmiar któregoś biopierwiastka jest przyczyną chorób cywilizacyjnych. Decyduje ich wzajemny układ, struktury przestrzenne i inne czynniki, które są przedmiotem badań. Niemniej trochę już wiadomo, choćby to, że niedobór litu w krwinkach wzmagają tendencje agresywne. Również potwierdzono hipotezę o grzybach i pleśniach wywołujących nowotwory. Badano zagrzybione „domy rakowe” oraz pożywienie zaatakowane kropidlakiem żółtym — sprawcą białaczki. Długa jest lista żywności, po której grasuje kropidlak żółty (orzyszki ziemne atakowane już w 24 godziny po otwarciu puszki, orzechy laskowe i włoskie, pszenica, kasza manna, ryż, kukurydza, groch, soja, migdały, ryby, słonina, wędliny — zwłaszcza sala-

mi — i białe wino) — długa i jeszcze nie zamknięta. Profilaktyka, to umiejętne przechowywanie produktów, odpowiednia ciepota, wietrzenie i używanie soli naturalnej, nie lutowanej, która ma własności gzybobójcze.

Zalety soli znane były, odkąd człowiek ją spróbował. Od najdawniejszych czasów w Afryce, Azji, a także w Chinach była cenniejsza niż złoto, choć jeszcze wtedy nie wiadano, że zawiera biopierwiastki. Jak bardzo ich obecność jest istotna dla zdrowia, świadczy porównanie zachorowań na zawal w Finlandii, gdzie jest miękka woda bez domolitu, litu, selenu, miedzi, chromu, i w Bułgarii, gdzie używa się soli z odparowanej morskiej wody. Bułgarzy rzadziej chorują na zawal niż Finowie. A Polacy, choć mają wspaniałą sól kopalną, na co dzień używają soli oczyszczonej, z biopierwiastków też. Miał rację Brillat Savarin w „Fizjologii smaku”, że losy narodów zależą od ich odżywiania się.

Profesor Aleksandrowicz napisał książkę, aby dobitnie to uargumentować. Kto oprócz skończonych hipochondryków i ludzi dotkniętych nieszczęśliwą chorobą ją zauważył?

Profesor zaleca sterylizowanie produktów spożywczych falami elektromagnetycznymi o określonej długości, co zmniejsza zagrożenie zakażeniem wirusowym, tak jak pasteryzacja chroni przed zakażeniem bakteryjnym. Komu by się chciało to zorganizować?

Podczas, gdy nie robi się tylu innych rzeczy z powodu kryzysu, gdy coraz bardziej zaczynają otaczać nas namiatki, podjęlibyśmy aż taki wysiłek w walce z kropidlakiem? Jak na razie nie zadano przecież o szczególną opiekę mieszkańcom rejonu Końskowoli, z powodu wiatrów od puławskich Zakładów Azotowych częściej cierpiących na raka, i mieszkańców Puław, mających kłopoty z drogami oddechowymi. Więc co będzie?

Będzie jak jest: na kogo wypadnie, na tego bęc. Ostatecznie nie umiera się na raka na placu Litewskim, a chorzy nawet nie wiedzą, czemu zawdzięczają śmierć.

Zeby cokolwiek tu poprawić, trzeba otuć prof. Aleksandrowicza i nie będzie problemu.

Anna Bocian

Sax by się ucieszył...

David Pituch o saksofonie klasycznym

— Dla nas, Polaków, saksofon w filharmonii to rzecz rzadko spotykana.

— Nie tylko tutaj. Także w Portugalii, dokąd wybieram się z cyklem wykładów i koncertów. W ciągu tygodnia przedstawię saksofon, jego historię, podstawowe metody gry, repertuar. Jestem również zaproszony do Korei, gdzie działa jeden saksofonista klasyczny.

— Ma pan pola do popisu w wielu krajach. Dlaczego więc wybrał pan nasz? Czy przez sentyment do swego polskiego pochodzenia?

— Tak, dziadkowie byli Polakami. Natomiast moja matka urodziła się w Stanach, a ojciec w Kanadzie. Jestem więc Amerykaninem. W domu, oczywiście, hołdowało się polskimi tradycjom, ale ja nie miałem kontaktów z krajem aż do lat siedemdziesiątych. Dopiero w 1974 roku przyjechałem na kurs dla Polonii na KUL. To był jakby przedśmiatek do Polski. W dwa lata później przybyłem ponownie w ramach programu wymiany Fulbrighta.

— Pracował pan naukowo?

— Skończyłem muzykologię na Uniwersytecie Colorado w Boulder, a pracę magisterską pisałem na temat Tabulatury Pelpińskiej. Bardzo interesowała mnie muzyka renesansu. Studiowałem notację, robiłem transkrypcje, między innymi także i Tabulatury Jana z Lublina. Do naszej uniwersyteckiej biblioteki przychodził „Ruch Muzyczny”, a także niektóre publikacje PWM. W Polsce kontynuowałem swoje badania na temat historii polskiej muzyki.

— Przypominam sobie, że bodajże w tamtym okresie w piśmie „Ameryka”, czytałem o pana recitalu w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie.

— A tak; kiedy dowiedziano się, że gram na saksofonie, poproszono mnie o danie kilku koncertów. Potem przez przyjaciół z Instytutu Muzykologii poznałem kogoś z radia i w ten sposób znalazłem się na... próbnym nagraniu. Saksofon klasyczny był czymś nowym, dlatego jeszcze nie wiadomo było, co z tego wyjdzie.

— I wyszła w końcu płyta długogrająca, którą znaleź w naszych sklepach, to tak jak igła w stogu siana.

— Przyznam, że sam mam z tym kłopoty. Myślę, że melomani potraktowali ją na zasadzie ciekawostki, choć muszę powiedzieć, że w czasie moich podróży koncertowych dość często zwracają się do mnie młodzi saksofoniści, których marzeniem jest, żeby grać klasycznie na tym instrumencie. Pamiętam, byłem w jakiejś miejscowości na granicy NRD i Polski. Po moim recitalu w klubie prasy przyszedł do mnie młody człowiek i powiedział, że on też gra na saksofonie tenorowym, z flecistą. Powiedział, że zrobili dużo transkrypcji muzyki barokowej i że, według niego, saksofon to instrument, który świetnie się do tego nadaje. Na koniec dał mi swoje zdjęcie z autografem.

— Szkoda więc, że Bach nie miał szansy zetknąć się z tym instrumentem.

— Niestety, saksofon został wynaleziony dopiero w roku 1840 przez młodego Belga, Adolpha Saxa. Miał wtedy 28 lat i kiedy stwierdził, że Belgowie nie okazują należnego mu szacunku, wyjechał do Paryża. Tam też spędził resztę życia. Sax był przystojnym młodzieńcem, bez trudu nawiązywał kontakty, poznał nawet samego króla i poprzez niego dotarł do sfer wojskowych. Udało mu się przekonać jednego z generałów, że saksofon jest niezbędny w orkiestrze. A ponieważ Sax miał patent na konstruowanie saksofonów przez piętnaście lat, zrobił na nich majątek. Później zaczął grać na nich w Holandii, Belgii i USA, potem w Anglii, Prusach i Rosji. Podejrzewam, że w „Wariacjach Symfonicznych” Rachmaninowa stąd wziął się saksofon, że pan Sax był przez jakiś czas w Moskwie. W ogóle dużo podróżował i pokazywał swój instrument.

— To, co pan opowiada, wydaje się bardzo interesujące, niestety w Polsce właściwie niedostępna jest literatura dotycząca saksofonu.

— PWM publikuje coś w rodzaju małych monografii instrumentów. Zaproponowano mi napisanie „Saksofonu od A do Z”. Zostały mi jeszcze dwa rozdziały i tłumaczenie, bo pisałem po angielsku.

— Zdaję sobie sprawę, że w Stanach nie miał pan trudności ze zdobyciem bibliografii do swojej książki, bo przecież tam na saksofonie gra się wszędzie.

— W każdej średniej szkole ogólnokształcącej istnieje kapela dęta. To już tradycja. Jeśli szukać odpowiednika w Polsce, to można by chyba mówić o szkolnych chórach.

— Czy pan również zaczynał w takim szkolnym zespole?

— Tak, z tym, że na początku chciałem grać na trąbce, ale spóźniłem się na wybór instrumentu. Oczywiście w szkole nauczyłem się rzeczy elementarnych, czytania nut, trochę techniki. Trzeba było poza tym pracować samemu. Jeśli ktoś chce naprawdę nauczyć się grać, jest zmuszony brać lek-



cje prywatne. Nie było to drogie: dolar lub dwa za lekcję, więc ojciec pozwalał mi grać regularnie.

— A podstawowa szkoła muzyczna?

— Coś takiego nie istnieje. I dlatego to przejście od samodzielnej pracy do intensywnej, zorganizowanej, na bardzo wysokim poziomie, jest trudne. Ja trafiłem do dobrej szkoły — Baldwin-Wallace College Conservatory. Akurat szukano saksofonistów do kapeli dętej i dostałem stypendium.

— Zdaję sobie sprawę, że jeśli chodzi o instrumenty dęte, w Stanach istnieje duża konkurencja. Czy miał pan tam okazję często występować?

— Dość długo grałem w orkiestrze wojskowej, a potem wróciłem na Uniwersytet i nie chciałem patrzeć na saksofon.

— Było aż tak ciężko?

— W Polsce takie orkiestry to przeważnie zespoły amatorskie, a w Stanach pracują na takich samych zasadach jak orkiestry symfoniczne. Wszyscy muzycy są po studiach. Mały zespół liczy 40 osób, ale są i składy ponad osiemdziesięcioosobowe. A w repertuarze mają utwory Hindemitha, dużo dzieł współczesnych kompozytorów angielskich i amerykańskich. A jeśli grają transkrypcje, są to np. „Tańce symfoniczne” Dworka, czy też części symfonii Beethovena, uwertury do oper Rossiniego.

— Wyobrażam sobie, jak musi brzmieć taka prawie stuosobowa orkiestra instrumentów dętych...

— Do tej pory wielu polskich muzyków wspomina orkiestrę z Michigana, która grała w kraju z piętnaście lat temu. Mówią, iż nawet nie przypuszczali, że instrumenty blaszane mogą tak czysto, tak precyzyjnie i tak kulturalnie brzmieć.

— I przypuszczam, z tego powodu w Stanach powstaje więcej utworów na instrumenty dęte niż gdzie indziej. Na i chyba trzeba pamiętać o wpływie jazzu?

— Myślę, że jeszcze większy wpływ na amerykańskich kompozytorów współczesnych niż jazz mają marsze Susa, ale zarówno jedno i drugie nie ogranicza nowatorskiego myślenia. Owszem, istnieją różne nurty, np. znany kompozytor amerykański Alec Wilder, można powiedzieć, sklasycyzował jazz. Pisze sonaty smyczkowe, kwartety w oparciu o harmonię i rytm jazz-

zu. Natomiast inni znani kompozytorzy, jak Warren Frank Benson czy też Paul Creston, są to z kolei przykłady muzyki bardzo klasycznej.

— Na płycie którą pan wydał w Polsce, zatytułowanej „Muzyka na saksofonie klasycznym”, znalazły się wyłącznie kompozycje współczesne. Na recitalach również tylko taką muzykę pan prezentuje. Czy uważa pan saksofon za instrument przyszłości?

— Tak, jestem o tym przekonany. I dlatego przeciwny graniu transkrypcji. Według mnie, dopuszczalne to jest jedynie w celach pedagogicznych, ale na estradzie wydaje mi się wymierzone przeciwko rozwojowi saksofonu. Dlatego nigdy bym ich nie nagral na płycie.

— Saksofon jest instrumentem młodym, więc chyba i kompozycji nań mamy niewiele. Czy zadal pan sobie trud zliczenia tego, co powstało do tej pory na świecie w tym zakresie?

— Owszem i wcale nie jest tego tak niewiele. Samych koncertów na saksofon solo z orkiestrą naliczyłem około stu trzydziestu. Są to utwory pisane przeważnie po latach trzydziestych, choć zdarzają się i wcześniejsze, jak „Rapsodia” Debussy'ego. Nowa era dla repertuaru rozpoczęła się z chwilą, kiedy zaczęli działać dwaj wielcy saksofoniści, Marcel Mule i Sigurd Rascher. Rok 1942 to był prawdziwy początek gry na saksofonie klasycznym, bo wtedy za sprawą Mule'a otworzono pierwszą klasę gry na saksofonie przy Konserwatorium Paryskim.

— Nic dziwnego, że Francja ma takie tradycje. Najpierw Sax, potem Mule...

— Trzeba powiedzieć, że w tym kraju, jak również w Belgii i Holandii, jest nadmiar saksofonistów. Eksportuje się ich często do innych krajów. Znam takiego jednego z Paryża, który jest stałym muzykiem Karajana. Kiedy trzeba, zabiera saksofon i leci do RFN.

— A gdzie działał Sigurd Rascher?

— W Stanach. To mój były profesor. Z pochodzenia Niemiec. W czasie wojny wyjechał z Europy. Mogę powiedzieć, że właściwie kontynuuję jego dzieło tutaj w Polsce. Pisali dla niego wielcy kompozytorzy, jak Aleksander Glazunow czy Jacques Ibert. W sumie powstało tych utworów około trzystu. Ja chciałbym również formować repertuar na saksofon w Polsce. Przed moim przyjazdem było trochę utworów, ale raczej pedagogicznych. Za wyjątek uznać można dzieła Natanson'a. Teraz wielu kompozytorów polskich pisze dla mnie, chociażby Szalonek, Wiśniewski, Moss, Szeremeta, Dutkiewicz. Podobna sytuacja istnieje w Skandynawii. Zaczyna się zainteresowanie saksofonem klasycznym. Jeden z kompozytorów, Bent Lorentzon, zadedykował mi solowy utwór „Round”, który często wykonuję na recitalach. Ma zamiar napisać dla mnie następny, na saksofon solo i instrumenty dęte. Myślę jednak, że Polska stanowi ważny ośrodek muzyki współczesnej, centrum dla kompozytorów z całego świata. Siedząc w Warszawie, mogłem ich wszystkich poznać, co byłoby niemożliwe w Stanach. A z ich strony zetknięcie się z nowym instrumentem to jakby wejście na nową drogę. Większe prawdopodobieństwo utrzymania się utworu w repertuarze stanowi dla twórcy dodatkowa zachęta.

— Związany jest pan statowo z Akademią Muzyczną w Warszawie. Prowadzi pan tam klasę saksofonu. Czy pana studenci mają szansę osiągnąć wysoki poziom, taki, że byliby nie musieli z ich powodu tracić na wartości artystycznej niektórych wykonawców?

— Uczę tutaj już pięć lat i myślę, że w ciągu tego okresu moi studenci opanowali jako tako technikę, zaczęli zwracać większą uwagę na intonację. Przyznam, że na początku miałem kłopoty z przekonaniem ich, iż saksofon stracił tak samo dobre jak każdy inny instrument i że to zależy od wykonawcy, a nie od instrumentu. Bardzo dużą pomocą dydaktyczną okazała się moja płyta. Mam takie marzenie, by i z Polski można było saksofonistów eksportować, więc tłumaczę moim studentom, że muszą być cierpliwi, bo trzeba włożyć dużo pracy, by mogli wyjść na zewnątrz. Jest tylko jedna przeszkoda: brak dobrych instrumentów. Od czasu do czasu udaje się komuś kupić jakiś odgrzebany w klubie saksofon. Najczęściej są to dobre francuskie instrumenty. Podejrzewam, że jeszcze kryje się ich trochę w jakichś zakamarkach.

— Klasy saksofonu istnieją nie tylko w Warszawie, są także w Krakowie i Katowicach. Co więc nowego, odmiennego działał pan przez te pięć lat?

— Myślę, że otworzyłem okno na repertuar i sposób innej interpretacji. Było moim marzeniem dostać taką pracę. Wtedy nie myślałem konkretnie o Polsce, a że tak się złożyło...

Spotkania z kulturą NRD

DNI Kultury NRD w Polsce, choć urządzone nieco skromniej i z mniejszym rozmachem niż niedawne Dni Kultury Radzieckiej, przyniosły wiele interesujących imprez i spotkań. Do poszczególnych regionów i województw naszego kraju przybyły zespoły, grupy artystyczne, reprezentujące różnorodny nurt, tendencje, estetyki w sztuce, ukazujące współczesne oblicze życia kulturalnego Niemiec Republiki Demokratycznej.

Na Lubelszczyźnie mieliśmy okazję poznać, niewielkiej przynajmniej części życia muzycznego tego kraju, za sprawą koncertów dwóch interesujących zespołów muzycznych. Jeden z nich to grupa rockowa „Drei”, prezentująca wysoki poziom kwalifikacji muzycznej, interesujące brzmienie i niepowtarzalne barwy głosów członków zespołu. Posiadająca przy tym wszechstronny repertuar, ciekawie budowany z pieśni lirycznych, muzyki rockowej, elementów folkloru.

Dużym zainteresowaniem publiczności, szczególnie w Naleczowie, Krasnem, cieszyły się koncerty luźniejszego zespołu „Judahel”. Grupa ta prezentuje ludowe pieśni i piosenki luźne, przyczyniając się do zachowania i rozwoju bogactwa kulturalnego tego narodu. Wykorzystywane są tu instrumenty, których nigdzie indziej spotkać już nie można, takie jak „Dudelsach”, „dreisaitige Fidel”. W tradycyjnej luźniejszej kulturze zespół znajduje główne źródło inspiracji, ale pragnie także, by jego twórczość tkwiła we współczesności. Założycielka i kierowniczka zespołu Ingrid Nagel powiada: „Pragniemy śpiewać i ożywiać dawne luźne piosenki ludowe w taki sposób, aby nasi słuchacze odbierali je jako współczesne. Bo przecież folklor ulega przemianom w zależności od tego, jak zmieniają się gusty muzyczne oraz filozofie życia. Śpiewamy zatem piosenki, które odzwierciedlają nasz stosunek do współczesności, ale i naszą świadomość historyczną. Tradycję interpretujemy według naszej dzisiejszej wiedzy i umiejętności”.

Publiczność Warszawy i Gdańska miała możliwość oglądania jednego z czołowych teatrów NRD, Volksbühne z Berlina. Teatr o bogatej historii i ciekawych tradycjach, istniejący od 1890 roku, kiedy to powstała organizacja robotników i widzów „Freie Volksbühne”, pracująca początkowo bez własnego zespołu i budynku. W 1914 roku dzięki funduszom pochodzącym z oszczędności robotników otwarto scenę Volksbühne przy placu Bülowa w Berlinie. Ważne momenty w historii teatru wyznaczały wystawy zespołu Maxa Reinhardta a potem kilkulatnie kierownictwo artystyczne Erwina Piscatora, którego celem było przede wszystkim przywrócenie związków między teatrem a publicznością. Te zadania są zresztą stale ważne i w obecnej pracy teatru. W repertuarze Volksbühne najczęściej obecna była dramaturgia Brechta, Wolfa, Schillera i oczywiście Hauptmanna, którego sztuką „Tłokacz” u schyłku XIX wieku teatr zapoczątkował swoją działalność.

Polskiej publiczności teatr prezentował mało znany i rzadko grywany utwór, choć należący do bardziej znaczących dzieł Hauptmanna, „Schluck i Jau”, w którym fantastyka i baśniowość łączą się z typowym hauptmannowskim naturalizmem. W której przenikają się rzeczywistość i sen, prawda i ułudzie. Interesujący jest ponadto język, gdzie biały wiersz łączy się ze śląskim dialektem.

Drugim przedstawieniem przywiezionym do Polski był „Don Juan i Faust”. Dramat dziewiętnastowiecznego pisarza niemieckiego Christiana Grabbe wykorzystuje silnie odczuwane u progu XIX wieku związki postaci Don Juana i Fausta, wyrażających tę samą wolę bezgranicznej swobody i pragnienia nieograniczonego dealektowania się z życiem oburzenie i wstępnost do mieszczańskiej ciasnoty poglądów. Najmocniejsze akcenty w sztuce Grabbe'go zostały położone na hedonistyczną żądze używania życia i się korzystania z życia, która jest najwyższą wartością ludzkiej egzystencji.

Przedstawienie Volksbühne prezentuje „Don Juana i Fausta” w formie ogromnie widowiskowej, teatralnej, posługując się znaczną umownością, symbolem maski i kostiumu. Sposób wykorzystania koloru, światła i muzyki służy budowaniu obrazów niszczącego świata, burzenia ludzkiego szczęścia. Służą pokazaniu prawdy, że świat, o którym myślimy, iż jest uporządkowanym kosmosem to jedynie gruzowisko. Mocną stroną tego przedstawienia pozostaje aktorstwo, interesujące wydają się zwłaszcza role Don Juana i Fausta, grane przez kobiety. Zespół Volksbühne prezentuje wysoki poziom umiejętności technicznych, co wpływa przecież zdecydowanie na wyniki artystyczne jego pracy.

MIKA.

kamena 9

Rozmawiała: Irena Filus

**OSTATNI
Z WIELKICH**

MINTONE Konfrontacje filmowe charakteryzowały się przede wszystkim wyrównanym poziomem: zaprezentowane filmy różniły się, oczywiście, skalą osiągnięć artystycznych poszczególnych reżyserów i aktorów, ale nie było takiej sytuacji, jak w poprzednim roku, kiedy dzieła miary „Fanny i Aleksander” Bergmana usiłowano „skonfrontować” z filmami na przerażająco niskim poziomie. Tegoroczne Konfrontacje należy więc ocenić jako udane i ciekawe, chociaż dzieła „oszałamiających” nie oglądaliśmy. No, ale nie każdego roku rodzą się w światowej kinematografii dzieła wybitne.

W każdym razie była to dla widzów trzynastodniowa lekcja dobrego profesjonalizmu. Niezależnie od tego, że jedne filmy uhonorowane były Złotymi lub Srebrnymi cennejszymi Palmami, inne — berlińskimi Niedźwiedziami, amerykańskimi Oscarami czy Złotymi Globusami, a jeszcze inne nie potrafiły pochwalić się żadną festiwalową nagrodą.

Piszącemu te słowa najbardziej podobal się francusko-erefenowski „Paris, Texas” Wima Wendersa z nie najlepiej — notabene — prezentującą się tutaj aktorsko Nastassją Kinsky, amerykański „Pod wulkanem” Johna Hustona, także — amerykańskie „Czułe słówka” Jamesa Brooksa z brawurą poprowadzonymi rolami przez Jacka Nicholsona, Debrę Winger i Shirley MacLaine (przykład amerykańskiego filmu obyczajowego „dla szerokiej widowni”, ale zrobionego na niezwykle wysokim poziomie) oraz bardzo kulturalna, kostiumowa „Miłość Swanna” Volkera Schlöndorffa (produkcja Francja — RFN) z Ornellą Muti, Jeremym Ironsem i Alainem Delonem. Choć oglądając ten ostatni film, żałuje się, iż dzieła Prousta nigdy nie udało się przenieść na ekran genialnemu Luchino Viscontiemu, który wiele lat nosił się z takim zamiarem. Bardzo dobrze wypadł debiutancki film węgierskiego reżysera Janosa Xantusa — „Eskimosce jest zimno”, a największy zawód sprawił mi doskonały reżyser czeski Jiri Menzel, którego zabawna i wdzięczna swoją drogą komedia „Święto przebiśnięgu”, oparta na prozie Hrabala, w żadnej mierze nie może się równać z nieg-

dysie jezymi, tak reprezentatywnymi dla ówczesnej „czeskiej szkoły filmowej”, „Pociągami pod specjalnym nadzorem” tegoż twórcy.

Tak jak najwybitniejszą osobowością ubiegłorocznego przeglądu światowego kina był Ingmar Bergman, tak w tym roku palma pierwszeństwa należała się bezapelacyjnie Johnowi Hustonowi. Z filmem „Pod wulkanem”, zaprezentowanym w 1984 r. na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes, wiąże się przyznana wówczas Hustonowi specjalna nagroda za całokształt twórczości. Sam film nie uzyskał żadnej z nagród; zresztą słusznie. „Pod wulkanem” nie jest dziełem wybitnym mimo doskonałej kreacji aktorskiej, jaką stworzył tutaj Albert Finney w roli brytyjskiego eks-konsula w Meksyku zatracającego się coraz bardziej w alkoholizmie, ginacego z zazdrości o własną żonę, nie potrafiącego wybaczyć i zapomnieć zdrady... To wyraziście nakreślone studium samouniwersowania nieprzeciętnej ludzkiej jednostki, rzucone na tło pejzażu meksykańskiego z roku 1938, kiedy to z Niemiec hitlerowskich zaczynała na środkowoamerykański kontynent coraz mocniej przenikać faszystowska idea, nie potrafi przecież dorównać artyzmem słynnej powieści Malcolma Lowry’ego pod takim samym tytułem, według której film został nakręcony. A jednak hustonowski „Pod wulkanem” potwierdza raz jeszcze — mimo wszystkich niedociągnięć — światową klasę wielkiego amerykańskiego reżysera. Ostatniego ze swej epoki, ostatniego z wielkich...

Nie żyje już Chaplin, odeszli na zawsze Cecil de Mille, John Ford, Howard Hawks, Albert Hitchcock. Pozostały po nich wybitne filmy i narastająca z roku na rok legenda. Liczący niespełna siedemdziesiąt osiem lat John Huston, ostatni z wielkich, stał się legendą jeszcze za życia. Wybitny przedstawiciel amerykańskiego kina, zdobywca licznych Oscarów, inicjator amerykańskiego „czarnego filmu”, którego epokę zapoczątkował debiutując w 1941 r. na ekranie „Sokołem maltańskim” z Humphreym Bogartem w głównej roli — reprezentował Huston zawsze typ silnego, zdecydowanego i bezkompromisowego mężczyzny, kroczącego poprzez świat kina i przez życie — własnymi ścieżkami. Jest naturą szeroką, nieposkromioną, szokującą zwykłych śmiertelników, a na dodatek, lub pomimo to — zazwyczaj w życiu mu się szczęściło. Sprawdzał się w różnych gatunkach filmowych. Sławę przynosiły mu obrazy tego typu jak „Sokół maltański”, „Asfaltowa dżungla”, realistyczne i demaskatorskie „Szkarałatne godło odwagi”, niezapomniana, utrzymana w komediowym tonie „Afrykańska królowa” z Humphreym Bogartem i Katherine Hepburn w rolach głównych, ekranizacja „Moby Dicka” Melville’a, kostiumowy „Moulin Rouge” o życiu Toulouse-Lautreca, „Noc Iguany” według Tennessee Williamsa. Wreszcie — jedno z najwybitniejszych życiowych osiągnięć: nakręcony w oparciu o scenariusz Arthura Millera film „Sklóceń z życiem” — podzwonne dla mitu dzielnego kowboja — ostatni film i wielka kreacja Clarka Gable, pierwsza i ostatnia wielka rola dramatyczna Marilyn Monroe...

M.D.

Piłsudski i Kościół

Szanowny Panie Redaktorze! W poprzednim numerze „Kamery” ukazał się list (pt. „Tolerancja?”) czytelnika na temat Piłsudskiego. Autor stwierdza, że Marszałek był protestantem. Chcę wypowiedzieć się w tej sprawie i dorzucić garść szczegółów, zwłaszcza że w Katedrze św. Jana w Warszawie „zawsze wierni rodacy” zamówili w dniu 12 maja sumę pontyfikacyjną w 50 rocznicę śmierci śp. Józefa Piłsudskiego.

J. Piłsudski w okresie gimnazjalnym brał udział w dyskusjach w tajnym socjalistycznym kółku „Spójnia”, w którym wiele rozprawiano o pochodzeniu człowieka, o jego stosunku do Boga i wszechświata, o tym, że religia potrzebna jest tylko ludziom „bez rozumu i wykształcenia”.

Zasadniczy wpływ na dalsze ukierunkowanie światopoglądu Piłsudskiego wywarł okres syberyjski. Aleksandra Piłsudska, żona Marszałka, pisała (A. Piłsudska, Wspomnienia, Londyn 1960, s. 355): „...w czasie swego zesłania na Syberię Piłsudski zetknął się z Bronisławem Szwarcem, byłym członkiem Komitetu Centralnego, który po przebyciu w więzieniu był tam wysiedlony. Szwarcem miał duży wpływ na kształtowanie się poglądów młodego, dwudziestoletniego Ziutka. Obaj, bezdomni, odbywali na dalekiej północy długie rozmowy i dyskusje. Przyjaźń ich przetrwała wiele lat i po powrocie do Polski widywali się nieraz we Lwowie”.

A sam Piłsudski pisał na ten temat w 1903 r. w „Promieniu”: „I tu dopiero, na zesłaniu w Syberii, gdy spokojnie mógł rozmyślać nad wszystkim, com przeszedł, stałem się tym, czym jestem”.

Kim konkretnie? Odwołam się znów do wspomnień A. Piłsudskiej: „...z zapalonego romantycznego młodzieńca, który sam dobrze nie wie, czego chce, stawał się realistą, o ściśle określonych celach, przekonaniach, ideałach”.

Rozmowy ze współtowarzyszami niedoli na zesłaniu syberyjskim i lektura książek pogłębiały kształtowanie się poglądu na świat późniejszego Marszałka. Z 35 jego listów z lat 1890—1891 wiadomo, że czytał bardzo dużo — również prace Bakunina i Marksa. Wyznawał później: „Lektura ta pogłębiła znacznie moje poglądy na społeczeństwo i bezwiednie zacząłem ulegać wpływowi logicznie zbudowanej koncepcji Marksa”.

Pozostawmy jednak marksizm na boku, bo nas interesuje temat: jakiego wyznania był właściwie Marszałek?

Historyk Władysław Pobóg-Malinowski nie mógł wydrukować tego dokumentu w Polsce przedwrześniowej. A dokument to niezwykle interesujący, spisany przez ks. pastora K. Mikulskiego w języku rosyjskim, opublikowany w londyńskim „Poście Ewangelickim” nr 5 (180) w maju 1960 r. W przekładzie na polski brzmi on tak:

„Działo się to w Paproci Dużej 3/15 lipca 1899 roku o godzinie 10 rano. Oglaszamy, że w obecności świadków Adama Piłsudskiego, lat 29, pomocnika architekta, i Jana Piłsudskiego, lat 23, pracownika bankowego, obu zamieszkałych w mieście Wilnie, zawarty został pod tą datą religijny związek małżeński między Józefem Klemensem Piłsudskim, kawalerem, kupcem, zamieszkałym w Łapach, urodzonym w majątku Żulowie, 31 lat, synem Józefa i zmarłej Marii z domu Billewicz, małżonków Piłsudskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego*) i Marią Kazimierą Juszkiewicz z domu Koplewska, rozwiedziona z winy Męza, zamieszkała w Łapach, urodzona w Wilnie, lat 33, córka zmarłego szlachcica Konstantego i Ludmiły z Vhomiczów, małżonków Koplewskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego. Związek ten poprzedziły trzykrotne zapowiedzi w tutejszym Kościele ewangelicko-augsburskim 13/25 czerwca bieżącego roku i w dwie niedziele następne. Umowa ślubna nie została zawarta. Akt ten nowożeńcom i obecnym świadkom przeczytany przez nas i przez nich podpisany został”.

Wychodzący w Londynie „Posel Ewangelicki” zamieścił w nr-ze 9 (232) we wrześniu 1964 r. inny dokument: akt przejścia Józefa Piłsudskiego z katolicyzmu na ewangelizm. Cytuję fragment: „Działo się to w mieście Łomży dwunastego (dwudziestego czwartego) maja tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku o godzinie dziesiątej rano. Oglaszamy, że w obecności świadków (tu nazwiska) po dostatecznym przygotowaniu i pełnym wewnętrznym przekonaniu przeszedł z wyznania Rzymsko-Katolickiego na wyznanie Ewangelicko-Augsburskie w tutejszym Ewangelicko-Augsburskim kościele Józef Klemens Piłsudski”.

Napisałem te słowa i wpadł mi do ręki ostatni (z 26 maja) numer tygodnika „Argumenty”. Eugeniusz Guz zamieścił w nim artykuł pt. „Józef Piłsudski — ewangelik czy katolik”. Zainteresowanych odsyłam więc do tego tekstu, niemniej chcę zacytować pewien fragment tej pracy. Guz pisze: „Byłoby dużą zasługą w obliczu prawdy historycznej, gdyby ktoś zdołał [...] dorzucić do odpowiednich autentycznych źródeł i podać do publicznej wiadomości wyciąg z aktu powrotu Marszałka Piłsudskiego na łono Kościoła rzymskokatolickiego”.

Stało się to ponoć w czasie walk Legionów na froncie wschodnim w 1916 roku, dokładnie w Karasinie na Wołyniu, kiedy Piłsudski chorował na influencję. Obecni mieli być Kazimierz Sosnkowski, Bolesław Wieniawa-Długoszewski i kapelan ks. Henryk Ciepichał.

Jeśli rzeczywiście do przejścia na katolicyzm nastąpiło, nasuwają się pewne pytania. Chodzi mianowicie o to, czy obowiązujący wówczas kodeks prawa kanonicznego nie został naruszony?

Trzy elementy sposobu przyjmowania wiary od nowo nawróconych zasługują na omówienie. Pierwszy z nich to wymóg „publicznego i zaprzysiężonego wyznania wiary katolickiej” (publico iurata fidei catholicae professio); drugim jest postulat wymienienia przez jednostkę konfertyującą imiennie nazwy owej herezji (nominatum vero ilam), z której się nawraca, trzecim — położenie trzech palców na księdze liturgicznej i powtarzanie słów przysięgi.

Jest oczywiste, że żądanie sekretności konwersji stoi w jawnej sprzeczności z wymaganiami „publicznej konfesji” wymaganej przez rytuał. Tego jednak oficjalnie nie ujawniono, bo oficjalnie trzeba byłoby też ujawnić w czasie przejścia Piłsudskiego na ewangelizm!

Napisałem o tym wszystkim, bo ciągle mówi się o różnych białych plamach w naszej historii. Różne mogą być te białe plamy. Na przykład i ta, że Piłsudski jeszcze za życia swej pierwszej żony związał się z Aleksandrą Szczerbińską, późniejszą Panią Marszałkową. Córki Wanda i Jagoda urodziły się ze związku pozamałżeńskiego w 1918 i 1920 roku. Pierwsza żona Piłsudskiego zmarła 16 sierpnia 1921 r., a kolejny ślub zawarł Piłsudski dość szybko, bo już 25 października tegoż roku. Tym razem — w kościele rzymskokatolickim!

Czy z tego wszystkiego, a wiele faktów dodałbym, ale i tak się rozpisałem, można odpowiedzieć na pytanie: jakiego wyznania był właściwie Piłsudski? Ewangelickiego? Katolickiego? A może był wolnomyślicielem? Dlatego, że gdy krytycznego dnia, 12 maja 1935 r., zjawił się w Belwederze nie proszony ks. katolicki, W. Kornitowicz, z ostatnią postugą, Marszałek na jego widok... machnął ręką, dając mu znak, aby sobie poszedł. Spowiedzi też nie odbył, chociażby z tego względu, że przed śmiercią nie mógł mówić Nie ma żadnych dowodów, aby przyjął też wówczas komunię. Na ten temat milczą nawet ci, którzy są największymi obrońcami katolickiej śmierci Marszałka...

Janusz Kopczyński
Warszawa

*) Sformułowanie „wyznania ewangelicko-augsburskiego” odnosi się do osoby zawierającej związek małżeński, czyli J. K. Piłsudskiego. (J. K.).



Rys. Zbigniew Cieniuch

Ambitnie i byle jak

JEST król, dwór, dobre wróżki, pasterze, gadatliwy balwierz, książę, co ma osie uszy. „Książę Portugalii” — bajkowa opowieść, podobna tysiącu innych z tego gatunku, przynosi tradycyjne wątki, obecne w literaturze dla dzieci. W teatrze można z tego zrobić zwykłą ilustrację tekstu literackiego, ale można także ten nie najlepszy tekst nasycić barwami teatralności. W widowisku lubelskiego Teatru Lalki i Aktora dominuje nie skrywany, lekko ironiczny dystans, z jakim realizatorzy przyjmują treść bajki, proponując zarazem takie spojrzenie widzom. Ten dystans pozwala na pewną zabawę z formą, wypełnianie tradycyjnych form nowymi wartościami. Przedstawienie budowane jest zatem w oparciu o tekst i jednocześnie jakby ponad tekstem, odchodząc od kanonu ilustracyjności, zmierzając ku tworzeniu autonomicznych wartości teatralnych.

Tekst sztuki niesie duże możliwości dla form lalkowych. W przedstawieniu wykorzystano także aktora żywego planu. Tego typu rozwiązania realizacyjne korespondują podobno z dziecięcymi wyobrażeniami o postaciach scenicznych. Aktorzy doskonale zaistnieli w planie lalkowym, sprawiając, że lalki stały się czymś więcej, niż tylko obojętnie traktowanymi rekwizytami. Natomiast w żywym planie czasami zawadza, jakby nie starczało im... No właśnie, czego? W tym miejscu wypadłoby znowu wrócić do starego problemu, że część zespołu aktorskiego reprezentuje niewysoki poziom przygotowania zawodowego (głównie w za-

kresie mówienia tekstu, kultury słowa i oczywiście śpiewu), nie posiadając przy tym wyróżniających czy choćby zaznaczających się osobowości artystycznych.

„Książę Portugalii” trudno raczej uznać za ciekawą propozycję repertuarową. Można natomiast powiedzieć, że przedstawienie stanowi interesującą propozycję inscenizacyjną. Widowisko ma formę poetyckiej opowieści.

Scenografia Teresy Targońskiej stanowi konstrukcję wypełnioną wielością znaczeń, zbudowaną z rozmaitych tworzyw (drewno, tiul), ale utrzymaną w jednorodnej poetyce kolorystycznej. Barwy (brazy, brudne beże, zielenie) są elementem decydującym przy odczytywaniu zawartości semantycznej scenografii. Można zatem mówić o pewnego rodzaju stylu mimetycznym tej konstrukcji plastycznej. Kolory lalek, kostiumów, naśladowane barwy przyrody, dają złudzenie związków, czy nawet przynależności pewnych postaci sztuki do określonych zjawisk natury (np. postaci wróżek są całe w zieleni — żyją w lesie). Właściwemu zaistnieniu scenografii służy przede wszystkim światło, modelujące przestrzeń i postaci, uwydatniające znaczenie sytuacji i zdarzeń, nadające im określoną wartość.

Reżyser przedstawienia z dużą sprawnością posługuje się językiem scenicznego działania, wpływającym z możliwości materialnych lalki i ich związków z konstrukcją przestrzeni scenicznej. Ale jednocześnie teatralizując zdarzenia sceniczne, czyni to jak gdyby dla zaznaczenia obecności akto-

rów jako twórczych sił teatru. Zamaskowani aktorzy, poruszający lalkami w żywym planie, wykazują znaczną precyzję w zakresie animacji i wolno chyba sądzić, że znamionuje ich poczucie służebności wobec lalki, której ożywienie jest przecież sensem istnienia aktora na scenie. Stąd żywy plan nie usuwa w cień lalek głównych bohaterów widowiska.

Przy okazji tego przedstawienia rodzą się znowu pewne spostrzeżenia natury ogólnej, dotyczące kształtu pracy Teatru Lalki i Aktora. Poczynania artystyczne tej sceny są zawsze przemyślane, ujawniają znaczną kulturę teatralną, literacką, plastyczną, kierownictwa artystycznego i przede wszystkim ambicje, które oczywiście nie rzadko przerastają możliwości teatru, zwłaszcza w zakresie sił aktorskich.

Spotykam czasem w prasie pozytywne opinie, jakie teatr zyskuje przy okazji swoich występów na festiwalach i przeglądach teatrów lalkowych, sytuujące obecnie lubelską scenę lalkową gdzieś w kręgu najciekawszych dokonań polskiego teatru lalkowego. Niewątpliwie są to opinie słuszne i często skłonna jestem je podzielać, zwłaszcza jeśli wypowiedzane są przez recenzentów, których zdanie sobie cenię. Jednakże, nie mogę wybaczyć temu teatrowi jednej rzeczy wynikającej przecież ze zwykłego zaniedbania, czy niechęci. Stale brak tu przyzwyczajenia programów teatralnych. Wydawnictwa teatralne (programy do przedstawień czy inne, okolicznościowe) stanowią przecież przede wszystkim materiał o charakterze informa-



Ze sztuki: „Książę Portugalii”

Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

cyjnym, dokumentującym pracę teatru. Z czasem zaś stają się ważnym źródłem w badaniach nad historią teatru, a takowe miewają jeszcze miejsce, choć nierzadko podważa się ich sens i potrzebę. Przypominam rzeczy oczywiste, truizmy. Brzmi to zatem banalnie, tym bardziej, że nie mogę uwierzyć aby dyrektor Jaworski o tym zapomniał.

Lidia Wójcik

Teatr Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena w Lublinie, Joachim Knauth — „Książę Portugalii” Tłum. Henryk Jurkowski reż. Tomasz Jaworski, scen. Teresa Targońska, muz. Leszek Zuchowski, choreogr. Raimund Sobiesiak. Premiera 12 maja 1985 r.

Muzyka młodzieżowa

Lukier krzepi

GDYBY pokusić się o przeprowadzenie wśród fanów rocka ankiety na temat znajomości Harry'ego Rodgera Webba, urodzonego 14 października 1940 roku w Lucknow (Indie), rezultaty byłyby pewnie mizerne. Tymczasem tak brzmi prawdziwe nazwisko gwiazdy brytyjskiego rock and rolla. Mowa, oczywiście, o Cliffie Richardzie, który ma za sobą srebrny jubileusz kariery estradowej i który nie zamierza bynajmniej kapitulować. Ostatnio współpracuje z utalentowaną i wielce popularną rodziną Jacksonów. Czy pomoże mu to przywrócić blaski sławy?

Pierwsze szlagierowe nagranie młodzika jeszcze Richarda, „Move It”, trafiło na listy brytyjskich bestsellerów 12 września 1958 roku. Od tamtej pory, mimo upływu czasu, solista nie zestarzał się muzycznie. Wciąż czaruje głosem i zdobywa nowe zastępy wielbicieli. Interesujący jest fakt, że to już drugie pokolenie fanów, piszących bawie listy do klubu swego ulubieńca. Pierwsze zdążyło dorosnąć, a może i zmieniło zainteresowania.

Cliff wystartował do kariery w epoce szaleństwa rock and rolla. Próbowal wówczas naśladować wielkiego Elvisa. Podobnie jak Presley posiadał też rzadki dar dostępowania się do mody i potrzeb rynku. Dzięki temu zresztą przetrwał do dziś. Po nieokreślonych rytmicznie hitach: „Ready Teddy” i „Dynamite Rock” potrafił zaśnieć z wdziękiem eklektyczne piosenki: „A Girl Like You”, „Constantly”, „The Minute You're Gone”, „It's All In The Game” i „Congratulations”. Posiadał niewątpliwie talent wokalny, ale też wiele pracował nad sobą, zanim młodzież brytyjska zaczęła się

z nim identyfikować. W zdobyciu sławy i pieniędzy wiele pomogła mu reklama. Kiedy był już dostatecznie znany, pokazał się w siedmiu filmach muzycznych, a nawet wystąpił na deskach Bromley New Theatre.

Sympatię nastolatków zapewniła Cliffowi współpraca z dobrą grupą gitarową The Shadows (odwiedził z nią Polskę w 1963 roku). „Cienie” grały własną instrumentalną muzykę i akompaniowały Cliffowi, co jak wyznał po latach Hank Marvin, było korzystne dla obu stron. Nie da się bowiem ukryć, że za rock and rollami Richarda młodzież po prostu szalała. Później wyparty je przesłoniło do granic możliwości piosenki, lecz tona lukru nie osłabiła powodzenia gwiazdora. Nawet w okresie hossa agresywnych grup heavy rockowych albumy z piosenkami Cliffa Richarda szły jak przysłowiowe ciepłe bułki. Nagrał ich ponad 50. Zjednywały mu one szerokie grono sympatyków i to niekoniernie nastolatków. Solista „Cieni” był wykonawcą na tyle dojrzałym i elastycznym, iż potrafił pogodzić spontaniczne rock and roll z sentymentalnymi wyskawkami lez. W każdej z tych ról uchodził za perfekcjonistę. Mógł więc liczyć na aprobatę słuchaczy od Japonii po Stany Zjednoczone, dokąd dotarł ze swoją muzyką w połowie lat siedemdziesiątych. Krzyścy nie szczędzili mu ochwał za doskonale rzemiosło i przebiegłość repertuarową.

Trudności z utrzymaniem dawnej pozycji supergwiazdy dały o sobie znać dopiero w latach siedemdziesiątych, eksplodujących nerwowymi nagraniami Led Zeppelin, Black Sabbath, Uriah Heep i paru innych grup rockowych. Jednak z pomocą Bruce'a Wel-



Reprod. Maciej Kaczanowski

Istvan Grabowski

cha (dawnego gitarzysty The Shadows) udało mu się wyłansować kilka światowych przebojów — „Miss You Night”, „Devil Woman”, „Hey Mr. Dream Maker”, „We Don't Talk Anymore” i „Never Say Die”. Zwróciły one ponownie uwagę nastolatków na postać pana, który, mimo upływu lat, nie rezygnował z ostrej rywalizacji o miejsce w panteonie gwiazd pop music. Ubrany w czerwony garniturek skórzany, z gitarą elektryczną w dłoniach, czterdziestoczteroletni „młodzieniec” potrafił jeszcze przyciągnąć uwagę publiczności i wcale nie dlatego, że wspomaga go grupa wytrwałych instrumentalistów. Dziś, co jakiś czas daje o sobie znać markowa płyta, a powodzenie pozwala „wielkiemu optymiście”, jak sam siebie nazywa, snuć olany podboju Ameryki — zrobienia wspaniałego music-hallu z własną osobą w roli frontiera. Być może uda mu się to zrealizować przed zmlęciem bogatej w wydarzenia kariery.

Dawny cherubinek estrady jest obecnie człowiekiem mającym, mogącym pozwolić sobie na różne kaprysy. A że nie opuszcza ją go humor i świetne pomysły może w dalszym ciągu czuć się potrzebny słuchaczom, zwłaszcza tym po trzydziestce, z lekka w oku przypominającym sobie pierwsze wielkie szlagierowe idole. Od Bożego Narodzenia 1974 roku, kiedy na brytyjskie ekrany wszedł film „Take Me High”, Cliff zdradza zainteresowanie muzyką religijną. Trudno powiedzieć, czy jest to kaprys, czy może trwałsza fascynacja. Gwiazdor zapewnia, że ma w tej dziedzinie wiele do zaproponowania. Nie dziwny się przeto, jeśli w okolicach Gwiazdki usłyszymy nowe koledy rockowe w wykonaniu Cliffa. On doskonale wie, co robi. Do leksykonów i encyklopedii muzycznych na całym świecie wędzie zapewne jako wokalista i urodzony showman, próbujący sił w różnych stylach, nastrojach i klimatach. Uśmiechnięte zdjęcia Cliffa Richarda zdają się krzyknąć, iż niestraszna mu próba czasu.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek (korektor) — Barbara Caban

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w odtaki w kod. 14-16

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 253-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Onieka 4. Adres redakcji: 20-005 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1

Tel.: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego: 253-93 sekretarz redakcji: 218-93 dział publicystyki i literacki: 275-35

Korespondencje zwłokte prosimy kierować pod adresem: 20-930 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1982/85, 28.03.1985 r. L-4.



JAK ja teraz wyglądam? — powiedział głośno, patrząc w róg pokoju. — I jak ja teraz wyglądam?

Szybszym od myśli ruchem przysunął filiżankę po kawie i nalawszy sobie pełno, wypił jednym haustem.

— Jak ja teraz wyglądam? — wybełkotał. Nalał sobie i wypił po raz drugi, potem — trzeci. Odetchnął; znów był starym, mądrym, cwany i cynicznym Kubą.

Wciąż nie wypuszczając z rąk butelki, podszedł do stołu, gdzie leżała paczka papierosów. Usiadł i zapalił; ręce miał sprawne jak najbardziej precyzyjne narzędzia. Zaciągnął się głęboko; dym smakował mu teraz bardzo, ciało miał ciepłe i mocne, serce — niby dzwon.

— Szkoda tylko, że obrazek się zepsuł — powiedział głośno. I wydało mu się to bardzo zabawne. Powtórzył: — Szkoda, że się zepsuł... — Znow nalał sobie i wypił. — Piję — wyznał szczerym głosem. — Znowu piję. Piję, no i co? No, i nic. — Począł przedrzeźniać swego rozmówcę sprzed pięciu minut: — „I jak ja teraz wyglądam? I jak ja teraz wyglądam?” — Roześmiał się i krzyknął: — Wyglądacie wszyscy jak małpy w kruchcie. O, tak.

Machnął z zapalem ręką i wtedy przewrócił butelkę. Płyn rozlał się momentalnie, tworząc na politurowanej powierzchni stołu świetlistą kałużę. Kuba długo siedział osłupiały; patrzył to na kałużę, to na pustą butelkę, wreszcie cisnął ją w kąt. Szkło rozsypało się z ostrym brzękiem. Siedział z zamkniętymi oczami i palił papierosa; kiedy niedopalek począł parzyć mu palce, odepchnął oczy i westchnął. Wtedy zobaczył, że z rozlanej kałuży patrzy na niego twarz Krystyny. Roześmiał się.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — powiedział. Ona także się uśmiechnęła. Pokiwała głową.

— A jednak zjawiała się ze swoją zasraną litością — powiedział. — Zawsze przychodzisz wtedy, kiedy chciałbym przestać myśleć o tobie. A ja znowu piję, Krystyno. Widzisz?

Kiwnęła głową. — Głupie, co?

Nie odpowiedziała. Pochylił się nad nią i zobaczył, że twarz jej pełna jest napięcia.

— Teraz mnie nie oszukasz swoją litością — powiedział. — Nie oszukasz mnie tym zasranstwem, które mi dajesz zamiast miłości. Już długo nie śpiemy ze sobą. To coś znaczy, to coś jest. Nie chcesz już ze mną gadać ale wiern, co myślisz. A teraz powiem ci jedną rzecz: ludzie sami nie zmieniają się nigdy. Ludzi zmienia życie. Dobre czy złe, dobrego czy złego człowieka, ale zawsze życie. A ja jestem niepoń, Krystyno. Ty chyba o tym wiesz, co?

Kiwnęła głową. — Wszystko wiesz — powiedział Kuba z nienawiścią. — Ja wiem, że ty wszystko wiesz. Ty jesteś tak zwana mądra kobieta, o ile takie w ogóle istnieją. To znaczy najbardziej nieszczęśliwa. Dlatego, że jesteś mądra. Ze wszystko rozumiesz, że wszystko wybaczasz, że wszystko potrafisz mądrze ustawić. Za mądrość płacić się cierpieniem, Krystyno. Biedne, nieszczęśliwe, mądre kobiety. Żal mi was, bo prawie zawsze giniecie przez głupców. Jesteś mądra, Krystyno. Jesteś piekielnie mądra, ty idiotko, ale nie wiesz jednej rzeczy: nie wiesz, czym jest wódka. Nie wiesz, nie wiesz, nie wiesz.

Patrzyła na niego z niesłychanym napięciem i z twarzy jej Kuba widział, iż pragnie, aby mówił dalej.

— Kto wie? — powiedział w zmyśleniu i polarał policzek. — Kto wie? Może i wiesz? — Nagle roześmiał się wzgardliwie: — Powinnaś przecież wiedzieć. Mogę ci przypomnieć, chcesz?

Znow kiwnęła głową. Uśmiechała się mądrze i tajemniczo.

— Czy pamiętasz — począł mówić Kuba — jak byliśmy zeszłego roku w Zakopanem? Pojechaliśmy tam, abym ja odpoczął. Laziliśmy po górach, to było w tym czasie, kiedy w Zakopanem jest na ogół mało ludzi, i dlatego wybraliśmy tę porę. Tak, Krystyno? Przypominasz sobie? I rzeczywiście, przez trzy dni było wszystko dobrze. Wodzilimy się jak dwie nierozłączki. Pilnowałaś mnie. Nie odchodziłaś ode mnie ani na krok. Byłaś szczęśliwa. Kiedy spotykaliśmy na Krupówkach jakąś znajomą gębę, przeciągałaś mnie na drugą stronę ulicy. Chodziłiśmy tylko tymi szlakami i tylko do tych kawiarni, gdzie nie ma ani kieliszka wódki. To dlatego żeby mnie nie drażnić niepotrzebnie. I co z tego, Krystyno? Przez trzy dni było wszystko jak w bajce, ale czwartego nie przyszedłem na spotkanie z tobą. Nie przyszedłem również piątego i szóstego. Szukałaś, dzwoniłaś, latałaś po całym mieście, zaczęłaś nieznanym ludzi, patrzyłaś na nich obłąkanymi oczyma i pytałaś: „Czy nie widzieliście Kuby? Czy nie widzieliście takiego wysokiego blondyna?” A ludzie pukali palcami w czoło i szli sobie dalej. Zaalarmowałaś nawet pogotowie, gdyż przyszło ci na myśl, że wybrałem się na samotną wycieczkę w góry i skręciłem kark... A ja, Krystyno? A ja chlałem z Cyganami przez ten czas. Kiedy wreszcie znalazłaś mnie, byłem już bez forsę, bez zegarka, bez niczego. I wyjechałiśmy następnego dnia do Warszawy. Żeby się odzwyczaić od wódki. A mam ci przypomnieć pobyt w Międzyzdrojach; te wszyst-

kie awantury w knajpach, to wydzieranie mała z komisariatów?...

Zapalił nowego papierosa i zaciągając się chciwie dymem, patrzył w jej twarz. Krystyna spoglądała na niego teraz surowo, czoło jej przecinała pionowa zmarszczka.

— Sliczna jesteś — powiedział Kuba. — Wyglądasz jak Madonna ze starego obrazu. Masz w twarzy tyle słodyczy i tyle bólu... Dlaczego jesteś taka ładna? No, powiedz?...

Milczała. W jej brązowych oczach plonęło łagodne światło; wyglądała już zupełnie inaczej niż przed sekundą.

— Widzisz, Krystyno — powiedział Kuba. — I ty chcesz ze mną zostać? Czy wiesz, co by to było? Twoje życie stałoby się wiecznym oczekiwaniem. Nigdy byś mi nie wierzyła. Gdybym się spóźnił na obiad o pół godziny z powodu tramwaju czy jakiegokolwiek innego głupstwa, przeżywałabyś męki takie jak kobieta rodząca. Codziennie byś musiała na nowo rodzić swoje cierpienie. Przemykałabyś oczy i widziała mnie pijącego w jakimś barze. Byłabyś podejrzliwa i nieufna, kazałabyś mi chuchać, pytałabyś mnie o wszystko, nie wierząc ani jednemu mojemu słowu, za wszelką cenę starałabyś się mnie zaskoczyć i złapać na kłamstwie; to weszłoby potem w nałóg zeszcpecający każdą chwilę twojego życia... Zylem już z kobietami, które chciały mnie wyciągnąć z pijactwa, Krystyno. A ludzie? Czy pomyślałaś o ludziach? O tych wszystkich ludziach, którzy dawaliby ci dobre rady, jak ze mną postępować? O tych wszystkich idiotkach, które opowiadałyby ci, w jaki sposób wyciągnęły swoich mężów z nałogu? Czy pomyślałaś o tym? Czy zdajesz sobie sprawę, że naraz cały świat począłby cię obdarzać litością; wstętną, wścibską litością, która z człowieka robi słabą, plugawą, nie nie wartą dla samego siebie istotkę. Wchodziłabyś do kawiarni i od razu ludzie zaczęliby szeptać: „Patrz, to Krystyna, żona tego pijaka Kuby. Ona poświęciła się dla niego. Wyjątkowa kobieta, co za charakter, co ona musi przeżywać z tym drańkiem...” Szłabyś ulicą, Krystyno, a ludzie by mówili: „To idzie Krystyna, żona tego alkoholika, Kuby. Dziwię jej się, taka młoda, ładna kobieta i żyje z takim pijakiem. Życie sobie przez niego marnuje. Zresztą na pewno ma kogoś na boku; ten pijak rozkłada się przecież za życia, jakże ona może spać z takim?” Zaczęliby cię i pytać: „No, jakże, droga pani Krystyno? Czy on pije? Ty byś zaprzeczała, a oni by się uśmiechali. Wtedy ty byś myślała sobie: „Oni coś wiedzą. Oni go gdzieś widzieli, jak pił”. Życie twoje stałoby się pomalutką piekłem; pomalutką zaczęłabyś nienawidzić tych uśmiechów, tych dobrych rad, tej życzliwości; potem zaczęłabyś nienawidzić ludzi, omijać ich, unikać ich, kłamać przed nimi. I wtedy, Krystyno, nadszedłby taki dzień, kiedy zrozumiałabyś, że tylko my, we dwoje jesteśmy na świecie; ty, Krystyno, i ja, pijak, który zmarnował ci życie i odebrał wszystko. Czy pomyślałaś o tym, Krystyno?

Pochylił się nad nią. Milczała; twarz jej była pełna cienia.

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Dumas odwiedził kiedyś przyjaciela, który z wielką dumą pokazywał mu swój domek, a następnie zaprowadził Dumasa do winiarniowego ogródka.

— No, jakże ci się podoba mój ogródek? — Wielki to on nie jest, ale za to — tu Dumas spojrzął w niebo — jaki wysoki!

Maks Liebermann żył w wielkiej przyjaźni z malarzem Lesserem. Swego czasu rozszła się pogłoska, że kilka obrazów Liebermanna pochodzi właściwie od Lessera. Liebermann, dowiedziawszy się o tym, powiedział:

— Jest mi zupełnie obojętne, że opowiadają, iż moje obrazy maluje Lesser. Byłbym niepoieczony, gdyby mówił, że obrazy Lessera są przeze mnie malowane.

Honore de Balzac, gdy się dowiedział, iż pewna znana mu dama wychodzi po raz kolejny za mąż, odpowiedział: — Pani jest jak drzewo, co roku dostaje pani nową obrączkę.

Bernard Shaw, będąc na jednym z balów dobroczynnych, zaprosił do tańca niezbyt atrakcyjną damę, która była zachwycona tym faktem.

— Jak to uprzejmie z pana strony, że tańczy pan z tak mało znaczącą osobą jak ja — rzekła partnerka.

— Ależ, proszę pani! — wykrzyknął Shaw — przecież to jest bal dobroczynny!

Sterheim rozmawia z krytykiem. — Istnieją dwaj wielcy pisarze we współczesnej literaturze niemieckiej — mówi krytyk. — Kto jest tym drugim? — zapytał Sterheim.

Wyszeptał: Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 12 - Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko autora oraz tytuł powieści, z której pochodzi cytowany tekst. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

- nie wielość — 14, 3, 28, 127, 137, 141, 140.
- zasady organizacji państwa — 30, 76, 2, 122, 69, 115.
- kieruje pracą robotników leśnych — 9, 101, 25, 79, 34, 50, 132, 96.
- głupota — 12, 42, 37, 52, 90, 78, 104, 16.
- młęk — 27, 4, 41, 97, 86, 61.
- spaliny lub elektryczny — 7, 75, 11, 35, 119.
- naturalny satelita — 8, 82, 110, 58, 126, 114, 87.
- siarczan wapnia do wyrobu cementu — 62, 129, 51, 89, 63, 102, 40, 118.
- do podkreślenia — 70, 15, 38.
- obserwuje gwiazdy — 73, 46, 145, 47, 135, 19, 6, 124.
- ostrze pluga — 26, 66, 68, 57, 111, 117, 54.
- wydanie banknotów — 10, 33, 55, 56, 136, 144.
- nad oczami — 18, 109, 20, 44, 60.
- wzbogaca strój — 17, 49, 53, 107, 121, 133.
- mieszka obok nas — 36, 131, 94, 65, 81, 108.
- specjalność aktora — 13, 74, 21, 85, 24, 143.
- jednostka metrum w muzyce — 100, 123, 98, 39.
- jadą kolorowe — 103, 125, 95, 5.
- fala wiatru — 23, 120, 142, 130, 116, 134.
- punkt wysokości na mapie — 80, 22, 72, 128.
- utrwał zapach perfum — 59, 71, 32, 106, 45.
- harcerski zespół pieśni i tańca — 43, 91, 1, 84, 113, 93.
- zwierzę hodowlane — 29, 48, 64, 99.
- zezwolenie na wjazd do obcego kraju — 138, 83, 77, 103.
- zgnieciona masa — 92, 67, 31, 88, 112, 139.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 26-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon. książkowy wartości 500 zł.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26		
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	
55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69
70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84
85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99
100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110	111	112	113	114
115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129
130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141	142	143	144
145														

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

...radyjko. Grato dosyć cicho, ale prawie stałe. Właśnie grato. Najwięcej śpiewała Beatawo. I to było najgorsze. Piosenki jeduosobowe, dwuosobowe, polskie, angielskie, podobne do siebie, o podobnym rytmie.

Miron Białoszewski
Zawal

Nagrodę otrzymuje Jarosław Jarus, ul. Róży Luksemburg 66 m. 13, 31-409 Zamość.